

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok - Kielce - Lublin - Rzeszów

MAJDANEK — wstrząsające materiały
RADOM CONTRA KIELCE
prowokujący artykuł W. Sadurskiego
DYSKUSJA O TEATRZE IM. J. OSTERWY
— głos zabiera Zbigniew Frąc

STEFAN
WOJCIECHOWSKI

LISTY
HENRYKA
SIENKIEWICZA
DO MATKI

UŁOŻENIE kalendarza życia i twórczości znanych i wybitnych osobistości, których dzieła powszechnie znane, wywarły wpływ na historię kultury, nie jest rzeczą łatwą. Zdawać się może, iż np. odnośnie osoby Henryka Sienkiewicza dysponujemy wystarczającym zasobem materiału opublikowanego bądź zgromadzonego w muzeach, archiwach, bibliotekach i dostępnych zbiorach prywatnych, by na ich podstawie opracowany kalendarz ukazał dokładny chronologicznie bieg życia wielkiego pisarza. Opublikowany jako 57 tom zbiorowego wydania dzieł H. Sienkiewicza

(Dokończenie na str. 13)

16 stron

Janusz Danielak

KONIEC LATA

Nie da się ukryć — lato właściwie już się skończyło. I mimo okropnej piosenki, która to uczucie mogła do szczytu obrzydzić, szkoda lata. Nawet tego, deszczowego... To uczucie żalu towarzyszy zwłaszcza turystom. Jednakże tym razem zostawmy na boku uczucia i wszelką lirykę, by spokojnie i bez uprzedzeń przyjrzeć się owemu „lubelskiemu latu 1965”. Lubelskiej turystyce.

Oczywiście, włodawskie władze mają rację twierdząc, iż gdyby czekano na plan dotąd jeszcze nad jeziorem Białym nic by nie było. Ale jest to racja, która musi niepokoić. Gdy życie tak nagminnie wyprzedza planowanie rezultatem jest chaos.

Gdzieś tam, w ciszy swych pracowni, urbanisci opracowują kompleksowy plan rozwoju ośrodków turystyczno-wypoczynkowych w całym województwie. To bardzo pięknie. Ale — za późno. Zwierzyńce — według koncepcji urbanistów — przysła turystyczna stolica Roztocza — rozwija się bujnie

(Dokończenie na str. 4)

Problemy jest niemało, a niewiele z nich doczekało się sensownego rozwiązania. Turystyka z trudem wyrasta z roli Kopicuska.

Oczywiście, można powiedzieć, że w skali całego kraju nie mamy jeszcze jakiejś sensownej koncepcji rozwoju turystyki. Rządzi tu jeszcze często chwilowa moda i improwizacja. Te stwierdzenia szczególnie jednak odnoszą się do naszego lubelskiego województwa. Wynika to chyba przede wszystkim z faktu, iż dość niedawno dokonaliśmy odkrycia, że Lubelszczyzna jest (a przede wszystkim: może być) atrakcyjnym terenem turystycznych wypraw, pełnym uroczych zakątków, gdzie można znaleźć prawdziwy odpoczynek.

Czekając na „Kolumbą“

Przełom nastąpił kilka lat temu. Wówczas to „odkryliśmy”, że oprócz rejonu Kazimierza istnieje także Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie (dawniej znane tylko wędkarzom), czy Roztocze — zresztą nie w całości jeszcze odkryte. Na szlaku Tanwi — jednym z najdłuższych i najpiękniejszych szlaków kajakowych w Polsce — nie spotkałem nawet jednego namiotu! „Często pływają tedy kajaki?” — pytałem leśniczego. „Oj, panie, często, nawet dwa lata temu był jeden”. Na swojego „Kolumbą” czeka także rejon Batorza w powiecie kraśnickim. Także — „lubelska Wisła” (a to odcinek Wisły najpiękniejszy). Od Zawichostu do Kazimierza (siedemdziesiąt kilometrów!) nie ma nawet najskromniejszego domku campingowego. Tylko oczami wyobraźni można zobaczyć na urwistym brzegu pod Piotrawinem wspaniałe pensjonaty i motele...

Mimo wszystko — od czasu pierwszych „odkryć” — zrobiono niemało. Powstało kilka ośrodków campingowych na Pojezierzu i na Roztoczu, dokonano także bardziej trwałych inwestycji. Jednak mankamentem zasadniczym tego ruchu nad jeziorem i w lasy Roztocza była żywiołowość i właśnie — improwizacja. Laboratoryjnym nieledwie tego przykładem może być ośrodek nad jeziorem Białym. Rozwijał się on niezwykle dynamicznie, ale bez żadnego planu. W efekcie spotyka się tam zarówno wspaniałe gmachy jak i „psie budki”, przeznaczane jednak dla ludzi. Wszystko to mało funkcjonalne, nie mówiąc już o stronie estetycznej. Teraz, kiedy plan urbanistyczny został wreszcie zrobiony, trzeba będzie dokonać prawdziwej rewolucji.

RADOM przyszłości

KAZIMIERZ SPÓLNICKI



Osiedle XV-lecia

Fot. Wojciech Stan

NIE ma Radom tak pięknego, łatwego do rozwiązania urbanistycznych, położenia na górkach jak Lublin. Nie może poszczycić się uroczą Starówką jak Warszawa, ani też, od wielu lat rozumnie prowadzoną zabudową, jak Kraków. Wręcz odwrotnie, Radom odziedziczył po przodkach wszystko, co najgorsze. Mścił się to na obecnym rozwoju miasta i stwarza du-

że trudności na przyszłość. Po raz pierwszy opracowany za czasów Staszica plan zabudowy miasta wystarczał zaledwie na kilkanaście lat. Później wrócił z powrotem lata chaosu, gospodarki bezplanowej, rabunkowej.

W tej sytuacji tym większa jest zasługa radomskich architektów, urba-

(Dokończenie na str. 12)

ADAM JANUSZ BIEN

Suchy dok Medyka

NOC. Elektryczny pociąg jadący z Krakowa szybko mijają galicyjskie stacje. Czasem dwie minuty postoju, czasem trzy; potem odjazd i małe budyneczki kolejowych przystanków zostają daleko za nami.

Pasażer spogląda w okno, czyta nazwy mijanych miejscowości: Munina, Ostrowiecko, Radymno... Pasażer ziewa. No cóż, podróże podobno kształcą, ale również męczą. Monotonny krajobraz działa usypiająco. Po obu stronach toru równina gładka jak stół. Nudę zabija się więc ziewaniem, czytaniem gazety, paleniem papierosów. Oczywiście następuje dopiero wówczas, gdy pojawiają się światła, gdy dwa tory biegnące równolegle rozgałęziają się nagle w gęstą, niezliczoną ilość szyn. Następuje podniecenie: pasażer nerwowo zrywa się z ławki, ściąga z półki walizkę, trzaska drzwiami przedziału, wychodzi na korytarz.

— Czy to już Przemyśl, proszę pana?

— Nie. Zurawica...

W 1406 roku należała ona do rodu Leliwitów, tu w XV w. urodził się matematyk i lekarz Marcin Król, przez jakiś czas była posiadłością Stanisława Orzechowskiego, później rządził Zurawica „Diabeł” Stadnicki. Jeżeli mało jeszcze historycznych wiadomości, proszę zajrzeć do przewodnika „Przemyśl i okolice” Aleksandra Gilewicza oraz Jana Rózańskiego. Można znaleźć tam więcej rzeczowych informacji, a także anegdotę czy też legendę o tym, jak Karol Korniański z rodziny greckich kupców się wywodzący, ówczesny

(Dokończenie na str. 4)



Turystyka
od kuchni

Nareszcie Ciesielczuk

O d czasu do czasu to lub owo wy-dawnictwo do bląkającego się w świadomości albo w ogóle „zgubionego” nazwiska przydaje dowód rzeczowy w postaci wznowienia całej twórczości czy przynajmniej wyboru. (Przy takiej okazji wkrada się pytanie: ile jest w tym przypadku, a ile celowej i sprawiedliwej selekcji? Pytanie, które czeka na osobne omówienie). Wśród autorów, którzy z różnych względów zasługiwali na przypomnienie i nareszcie doczekali się wydania „Poezji zebranych”, znalazł się Stanisław Ciesielczuk.

Kim był Ciesielczuk? Poetą, członkiem grupy „Kwardyga”, autorem sześciu wydanych w dwudziestolecie tomików, jednego tomiku i powieści, które gdzieś zaginęły, z profesji nauczycielem i korektorem prasy lewicowej. Syn małego chłopca, urodził się w 1906 r. w Hrubieszowie-Sławęcynie i z regionem tym był ściśle związany — zarówno uczuciowo, jak w twórczości. Tu redagował gimnazjalne piśmiennik „Pakowie”, tu też według legendy, nie mającej zdaje się podstaw, udzielił korepetycji córkom Leśmiana, tu wreszcie akurat dwadzieścia lat temu zmarł na gruźlicę.

Powiedzmy od razu: Ciesielczuk nie należy do wielkich poetów, którzy albo wyznaczają nowe drogi twórczości, albo wznoszą się do wysokiego poziomu sztuki, a jednak zasługują na uwagę. Jest jednym z nielicznych niezależnych twórców okresu międzywojennego.

Twórczość pojmuję jako postawę, jako „formę aktywności życiowej”, co słusznie podkreślił S. Lichański we wstępie do jego tomu. Wynikają z tego daleko idące konsekwencje: poezja jest dlań narzędziem poszukiwania prawdy, rozwijania podstawowych zagadnień życia, dziełem pełniącym społeczną funkcję. Bezkompromisowość i maksymalizm, to dwie główne cechy postawy poetyckiej Ciesielczuka. Także, zwłaszcza później, humanizm oparty o tradycję norwidowską, przyjmujący za przedmiot twórczości „rzecz ludzką” i co za tym idzie, zagadnienia społeczne.

W artykule „Społeczne oblicze Hamsuna” Ciesielczuk podnosi u niego jako cechę, która nadaje jego twórczości wagę nie tylko literacką, „wierność sobie i wierność życiu”, ale krytykuje go za ubóstwienie natury i niewiarę w człowieka, co pociąga za sobą antydemokratyzm. Stojąc na stanowisku demokracji, Ciesielczuk podkreśla: „Na przykładzie Hamsuna doskonale widać, że kto nie stoi po stronie człowieka i myśli ludzkiej, ten nie może być demokratą”. (Jakże słowa te sprawdziły się w stosunku do Hamsuna, który przeleż w czasie wojny stanął po stronie hitlerizmu). Niechęć do kultury usprawiedliwia i solidaryzuje się z Hamsunem w aspekcie oceny współczesnej kultury. „To, co się potocznie nazywa kulturą, jest na ogół zamaskowaną ignorancją w sprawach najistotniejszych, cienką warstwą pokostu, pełnym stopniem zbiorowej głupoty”. Tym też przejawom — spekulacji, postawie drobniomieszczańskiej, handlarzkiej, ajeciu sztuki jako rozrywki nie szczędził Ciesielczuk ostrych słów w swej twórczości, zwłaszcza w „Teatrzo natury”:

W bójkach waszych o rynek, o władzę
Niech rozstrzyga pieniądź lub mlecz.
Pieśń na innej waszy się wadze —
I od pieśni, panowie, przezi!

Artykuł o Hamsunie może służyć jako komentarz do własnej twórczości Ciesielczuka, a mówiąc ostrożnie, uwytkła problemy, jakie w twórczości tej występują, głównie w ostatnich trzech tomikach. Są to często elementy przeciwnie i ścierające się, co przydaje tej poezji dynamizm: ukochanie przyrody, wsi oraz przeciwstawianie jej

miastu, a jednocześnie intelektualizm i zainteresowanie problematyką cywilizacyjną; czysty ton liryczny i sarkazm, ironia; samotność i wrażliwość na sprawy społeczne, walka o „społeczną wyższość”; odrzucanie i demaskowanie wszelkiego blichtru, zakłamania, małostkowości, a przy tym ciągłe szukanie, pytania o sprawy ostateczne.

Czemu zwoździ noc i dnia słoneczność,
Skoro wszędzie małość, kłamstwo, pieśń?
Tylko wieczność — wielka...

Tylko wieczność!
Tylko pieśń — prawdziwa... Tylko pieśń!

Elementy te spotkać można już od początku twórczości („Jeśli latać — to zawsze latać Niebezpiecznie, gorąco, z-urotnie”), choć w dwu pierwszych tomikach przeważa opis wsi, ale maksymalizm wczesniejszych utworów, zwłaszcza w „Psie kosmosu” często sprowadza się do poetyckiej retoryki i przybiera wymiary kosmiczne. Powoli jednak ten pusty nieco kosmos zaludnia się, retoryka zmienia się w docieklność, w stawianie problemów życia i śmierci, przemijania i ponadczasowości, prawdy i kłamstwa, utwory bogacą się artystycznie, nabierają wewnętrznej dynamiki.

Ciesielczuk nie cofa się przed konsekwencjami swej filozofii i oceny rzeczywistości, a to zdaje się prowadzić go nie tylko do gorczy, lecz również tragizmu i zwątpienia.

Nie ma śpiewu, co brzmiałby wiecznie —
Coraz inną idziemy drogą.

Biorąc sprawy najostatecznie:
Ta piosenka jest dla nikogo.

(Piosenki dla nikogo, I)

Tragizmu — bo poeta nadal zachował równocześnie wiarę w sens słowa, nie poszedł na kompromis wobec mentalności burżuazji, pozostał poetą godności ludzkiej, jak trafnie określił tę twórczość tytułem swego szkicu Adam Szczerbowski. Niestety, ostatniego etapu twórczości Ciesielczuka nie znamy, bowiem przygotowany przed śmiercią nowy tomik w zagadkowy sposób zginął, kilka natomiast utworów opublikowanych w prasie po wydaniu „Teatrzo natury” zostało w „Poezjach zebranych” pominiętych, co trzeba uważać za poważne niedopatrzenie wydawcy.

Mimo tego i innych braków wydanie poezji zebranych Ciesielczuka, jest dużym wydarzeniem, zwłaszcza dla literatury związanej z Lubelszczyzną, oraz zasługą Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, która w sposób staranny tom wydała.

Z. J.

Wzrost PRASY

Nieczęsto się zdarza, aby jeden temat tego samego dnia gościł w dwu różnych tygodnikach. A jeśli tak się dzieje, to temat musi być istotnie ważny, aktualny. Zaszczęt taki spotkał budującą się hydroelektrownię w Solinie, w województwie rzeszowskim. Reporter „Polityki”, Tadeusz Koto-dziełczyk pisze o niej: Zaporą konfliktów. Dokonuje konfrontacji po rocznej nieobecności, ukazuje trudności budowy, która ma opinię budowy trudnej. „Wszystko się na tej budowie spłatało. Niespodzianki przyrody. Nieznajomość techniki. Ludzka nieudolność. Czasem zła wola”. A kłopotów zawsze bez miary. Choćby sprawa kruszywa, materiału tutaj podstawowego. Gdyby ilość zużytego w Solinie kruszywa załadować na wagony towarowe, to pociąg miałby długość półtora tysiąca kilometrów. To tyle, co z Soliny do Szczecina i z powrotem. Sprowadzać kruszywo z daleka — nie opłaca się. Trzeba wydobywać go na miejscu. Stale go jednak za mało, choć może być więcej. Ale to już jest sprawa ludzi. Reporter ukazuje kłopoty, które całej budowie stwarzają ludzie, ich spory, często czysto prestiżowe,

9. IX
Święto wyzwolenia Bulgarii

Poezja bułgarska

WESELIN CHANCZEW

Pierścionek

Za twoje ciche przyjście, które dotąd
jak echo we mnie grzmiał i trwa wciąż jeszcze,
za to, co dane i nie wzięte mi z powrotem,
za przebaczenie, że jestem z tobą i nie jestem,
za słowa, których czasem oszczędzałaś,
za pieśń czar, któregoś nie szczędziła,
za siłę, którą wtedy we mnie wlałaś,
gdys jak najbezsilniejszą właśnie była,
za to, że moim imieniem się zwaly
two chwile zle i twa radosna myśl,

zamiast pierścionka na twój palec mały
gorące moje usta składam dziś.

BOŻYDAR BOŻYŁOW

S p ó j r z!

Z cyklu: „Kuba — moja miłość”

Ten wiersz krótki jest, niedokończony.
Tak jak nasza miłość.
Jak nasze rozmowy.
Niebo było absurdalnie czerwone
z ogromną gwiazdą
wśród liści palmowych
Tyś krzyknęła w zdziwieniu: „Mira!”
„Spójrz!” krzyknąłem w zdziwieniu ja,
Zachód zaczął roztopiać się w wirach
głuchącego twego głosu co wciąż trwa.

ANDREANA RADEWA

Robotnik

Od wczesnej wiosny mroźny zachód
w dani.

I żwiru pył.
I piasek.
I granit.
I wykop na wschód biegający.
Pewien robotnik ukląkł znów

i skrył
barczystym grzbietem słońce.
Układa kostki rzeźbione w granicie,
jak dziecię jego — klocki kolorowe.
Lecz one układają bajkę obrazkową,
a on —
układa życie!

CHRISTO FOTEW

Wiersz

Pamiętam — brzeg śpiewał cichutko
jak trąbka miedzią bogata.
Pożegnaliśmy się bez smutku,
pocałunek nasz był ostatnim.

I odpłynęłaś ku dali.
I stałaś w dalekości
falą w przecznej fall
i światłością — w światłości.

Przekłady
Tadeusza Rossa

ambicjonalne. W tym wypadku — spory załogi i komitetu zakładowego z dyrekcją. Nie miejsce tu na przedstawianie tych sporów. Ale one niepotrzebnie przeszkadzają, opóźniają i tak kosztowną budowę. Budowę, „jakiej jeszcze nie było”.

Zaloga Soliny pracuje w warunkach pionierskich, które hartują załogę. „Może miejscami nawet niepotrzebnie. No bo jeśli na solińskim osiedlu w restauracji — stolówce pracownicy nie mogą dostać wyboru posiłków, bo wcześniej zjedzą wszystko wczasowicze, jeśli żeberka — to przez tydzień, jeśli kotlet mielony — to drugi tydzień, jeśli w sklepie brak owoców (...), jeśli w klubie telewizor mruga przez godzinę i nikt nie może go naprawić, jeśli w kiosku Ruchu o 15 wiszą kartki „zaraz wracam”, a o 18 nikogo nie ma — miejscowi powiadają: to u nas normalne, można się przyzwyczaić. Można, ale po co?”.

„Polityka” zajęła się dniem dzisiejszym Soliny, „Kultura” natomiast wybiega w jej przyszłość. Bo przecież Solina, to nie tylko elektrownia, ale w przyszłości duże sztuczne jezioro o powierzchni 23 km kwadratowych oraz jeden z najpiękniejszych w Polsce ośrodków wypoczynkowo-turystycznych. Należy więc pomyśleć wcześniej, jak racjonalnie i użytecznie zagospodarować ten teren, by nie utopił przy tej okazji milionów w błocie. Dlatego Andrzej Bajkowski ogłasza Alarm w Solinie. O co chodzi? Na brzegach

jeziora solińskiego będą prowadzić nowe budowy różni inwestorzy. Tu leży pies pogrzebany; bowiem:

„Interesy przyszłych inwestorów nie są bynajmniej zbieżne. Każdy z nich będzie chciał jak najlepiej dla siebie. Już dzisiaj zaczynają się wśród kontrahentów kłótnie o teren. Bo tutaj zdrowsza czy ładniejsza okolica, tam znów bliżej szosy czy kolei, gdzie indziej łatwiej doprowadzić energię elektryczną lub w inny sposób uzbroić teren”. To jedno. A druga sprawa, to koszt globalny wszystkich inwestycji. Gdyby wszystkie skupić w rękę jednego inwestora obniżyłoby koszt o ok. 30—40%, a więc o około 100 mln złotych. Gra chyba warta świeczki. Stąd pointa autora: „Ratujmy Solinę póki jeszcze czas. Stokroć to nam się opłaci!”.

Jeśli już mowa o krajobrazie rzeszowskim, to przypomnijmy rzecz powszechnie znaną, że ozdoba rzeszowskiego krajobrazu, są stare drewniane cerkiewki, z którymi wojna obsesała się szczególnie srogo, a po wojnie też nie działa im się najlepiej. Ostatnio powstał projekt skansenu, do którego przyniesiono by około 40 cerkiewek. Skansen, to dobra rzecz, ratuje czasem bezcenne obiekty, przybliża je turystyce, ale skansen to ostateczność. Stąd godny uwagi jest felieton Hamiltona z „Kultury” „Cerkwie w stadzie”.

T. K.

Koleżance

Stanisław Gogolowski-Hoch
wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci Jej Męża

DUNINA HOCHA

składa
zespół „Kamień”

Wiesław Sadurski

RADOM contra KIELCE

artykuł dyskusyjny

Wiadomo, najgorzej tym nietypowym. Spróbuj wyrosnąć nieco ponad zwykłą miarę, a zaraz poczujesz tragizm istnienia, uzewnętrzniiony w poszukiwaniach garderoby. A jeśli jedno ramię masz w dodatku nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do drugiego, to już wpadłeś na amen. Tak jak Radom...

okresie czasu zapewnić uczelni kompletne wyposażenie. Na przeszkodzie stoi jedynie brak wykładawców i odgórnego decyzyjnego...

Uśmiecham się mimo woli. Odgórnego decyzyjnego? Czyżby znowu Kielce? — Mamy niejako pretensje także do Lublina — kontynuuje przewodniczący. — Pięć lubelskich uczelni zupełnie nie interesuje się naszym miastem, chociaż nie jesteśmy daleko... Wisła nie powinna nas chyba tak dzielić?...

Wolony możliwości słuchania dobrej muzyki, poza jakże rzadkimi koncertami gościnnymi innych orkiestr. Normalny zespół pracuje nad przygotowaniem koncertu miesiąc, kilka godzin dziennie. Radomska orkiestra ma próby 2 razy w tygodniu po 3 godziny, przy czym z frekwencją na próbach bywa różnie. Muzycy grają na własnych instrumentach. Poziom orkiestra jest niski, po co więc ją utrzymywać przy życiu, skoro w Kielcach jest świetny zespół? Teraz nie odwiezła

W gronie miast powiatowych Radom wygląda właśnie na takiego ekscentrycznego zbudowanego osobnika. Ma już prawie 150 tysięcy mieszkańców jest więc o połowę większy nawet od... stolicy województwa. Nieproporcjonalnie wielkie i silne ramię — to przemysł, kadra inteligencji technicznej; ramię słabe i niewielkie — to grono inteligencji humanistycznej, to życie kulturalne, pozbawione naturalnych możliwości rozwojowych i zaplecza w postaci wyższej uczelni.

Po kilku dniach pierwszego mojego pobytu w Radomiu jestem przekonany, że najczęściej mówi się w tym mieście o... Kielcach. Każda trudność, każda prawie bóleczka czy niedopatrzenie ma swoje źródło — jak twierdzą radomiacy — w stolicy województwa. I tak np. w autobusie zatłoczonym do ostatecznych możliwości nie kłnie się, jak w innych miastach, na miejską komunikację, lecz na Kielce; mówiąc o niektórych budowlach, już zabytkowych, bowiem od wielu lat budowanych (np. PDT, kino...) — nie komentuje się ironicznie „porządków”, lecz wspomina władze wojewódzkie... W jakiej mierze owe narzekania są powodowane przez lokalny patriotyzm mieszkańców Radomia, a w jakiej mierze wskazują prawdziwe źródła bóleczek?.. Jeszcze pół wieku temu Radom był stolicą guberni — oto odpowiedź na pierwszą część pytania. Druga odpowiedź brzmi nieco poważniej: na mieszkańca Radomia przypada trzecia część tych „środków komunalnych”, jakie przypadają na mieszkańca Kielca...

A jednak kieleckie panie przyjeżdżają po zakupy do nas — mówi nie bez odrobiny przekory jeden z moich rozmówców... — Nie o wszystkim decyduje wysokość nakładów...

Najlepsze możliwości rozwoju ma przed sobą przemysł radomski, to silne ramię z mego porównania. Dobrze zaopatrzone zaplecze budowlane, tradycyjnie wysoki poziom szkolnictwa zawodowego, kadra blisko trzech tysięcy inżynierów i techników — czynią z Radomia miasto, w którym każda inwestycja ma w znakomite warunki rozwoju. Stąd inwestowanie w Radom jest atrakcyjne, uruchomienie nawet wielkich zakładów nie nastreca wielkich trudności. Najbliższa pięciolatka przyniesie wzrost produkcji o 70% i około 20 000 nowych miejsc pracy.

Ta część portretu Radomia jest niewątpliwie optymistyczna. Nieco gorzej z innymi...

Największe kłopoty mamy z mieszkańcami — mówi przewodniczący Prezydium MRN, Waclaw Telus, — Buduje się coraz więcej, ale wciąż nasze miasto nie może się podnieść z tego ostatniego miejsca, jakie zajmuje

pod względem zagęszczenia w tabeli większych miast. W minionym 20-leciu przekazano mieszkańcom ponad 40 000 izb mieszkalnych, jednak wciąż jesz-



Radom 1965 r.

Fot. Z. Siemiaszko

cze nie możemy opanować skutków „eksplozji” przemysłowej w latach pięćdziesiątych...

Tak, poprawa następuje stale, lecz powoli. Nawet 15 000 izb, które zbuduje się w okresie 1965—1970, będzie kroplą w morzu potrzeb. A architekci już rozważają przecież dalekosieczne plany trzysztysięcznego Radomia...

Równie niewesoło wygląda najbliższa przyszłość, „słabego ramienia” miasta. Życie kulturalne... Mówi jeden z radomskich działaczy:

— Radom jest miastem zaniedbanym. Nie mamy kredytów w wysokości odpowiedniej do skali miasta... I naturalnym biegiem rzeczy rozmo- wa przenosi się na tych, którzy owe kredyty przyznają, a więc — WRN w Kielcach... Czy Radom jest pokrzywdzony, czy kredyty rozwiązałyby większość problemów? Przewodniczący Prez. MRN upatruje źródła kłopotów gdzie indziej:

— Ponad tysiąc młodych ludzi z Radomia studiuje na wyższych uczelniach Polski, podczas gdy ich rodzinne miasto uczelni jest pozbawione. Dysponujemy gmachem na dom studenta, odpowiednim gmachem na uczelnię, jesteśmy w stanie w krótkim

Więc jednak nie tylko Kielce... Przy pewnej dozie samokrytycyzmu radomiacy mogą mieć pretensje także do siebie. Dotyczy to np. małego uczestnictwa młodzieży w życiu kulturalnym miasta czy tendencji rozwojowych niektórych instytucji kulturalnych, zmierzających powoli do tego, aby stać się urzędem... Na wszystkie moje sugestie i ostrożnie formułowane zarzuty najczęstszą odpowiedzią było: — Co można zrobić z takimi funduszami?.. Wszystko rozbiła się o brak pieniędzy...

A więc — Kielce na ławę oskarżonych? Nie, sądzę, że sprawy Radomia, sprawy kultury radomskiej są zbyt skomplikowane, aby rozstrzygnąć je miała taka czy inna wysokość kredytów. Niech przykładem będzie szeroko, aczkolwiek ze zrozumiałych przyczyn jednostronnie, omówiona w drukowanym na łamach niniejszego numeru „Kamień” wywiadyt sprawy „być albo nie być” Radomskiej Orkiestry Symfonicznej. Doceniając wagę argumentów przedstawianych przez Wydział Kultury pragnę przedstawić argumenty przeciwnie, wypowiedziane przez jednego z mieszkańców Radomia:

— Dzięki temu, że istnieje radomska orkiestra jestem właściwie pozba-

nas często, nie chcąc robić konkurencji...

Kto ma rację w tym wypadku oraz w wielu innych? Widzę potrzebę szerokiej otwartej dyskusji wśród radomian...

Chodzę po Radomiu, oglądam stare kościoły i nowe obiekty, rozmawiam z ludźmi. Po południu i wieczorem centrum miasta ma wyraźnie charakter wielkomiejski. Na ulicach jest cicho, dużo młodzieży, w kawiarniach na wolny stolik oczekuje się w kolejce — zupełnie jak w Lublinie czy Warszawie. Może tylko kawa w Radomiu jest lepsza... Pełno kontrastów: świetnie wnętrza jednego lokalu rekompensuje natychmiast inny, ze ścianami obwieszonymi obrazami, przedstawiającymi „kwiaty jak żywe”. Myślę o „Teatralnej”... A przecież Radom ma Paciaka...

Miasto jest zatłoczone. Potwierdza się stara prawda, że „jak się mieszka, tak się żyje”: w dzielnicach, gdzie wskaznik zagęszczenia jest stosunkowo niski — kilkakrotnie mniejszy jest też stopień zachorowalności na gruźlicę oraz ogromnie spada liczba wybrzków chuligańskich. Ciekawe dane na ten i inne tematy opracowało Radomskie Towarzystwo Naukowe, które ma ambicje racjonalnego pokierowania wszystkimi procesami ekonomicznymi i gospodarczymi miasta. Prezesa Towarzystwa jest dr Stefan Witkowski, świetny znawca i badacz regionu...

Radom ma wiele potrzeb, jak każde chyba miasto w naszym kraju, tym bardziej, że Radom rozwija się szybko. Przede wszystkim — stara się o zaspokojenie potrzeb najważniejszych, a więc — mieszkań, lecznictwa, szkół... Wydarzeniem o ogromnej wadze było ostatnio oddanie do użytku wielkiego szpitala na 470 łóżek...

Obraz tego „nietypowego osobnika”. Radomia, jest w sumie — mimo wielu ciemnych plam — obrazem chyba optymistycznym. W sporze Radom — Kielce, tak bardzo przypominającym spór Toruń — Bydgoszcz, głosuję „za” Radomiem... Czy słusznie? O tym przekonam się, kiedy odwieczę i poznam Kielce... A może głos zabiorą bezpośrednio zainteresowani?

Na dworzec odprowadza mnie jeden z młodych radomskich malarzy.

— Psuje się pogoda — mówię, patrząc na nadciągającą chmurę. I słucham, czy w odpowiedzi nie padnie: — Proszę pana, gdyby nie Kielce...

W związku z Dniami Radomia przedstawiciel „Kamienia” rozmawia z Marią Wiecińską, kierowniczką Wydziału Kultury Prez. MRN w Radomiu.

— Radom to największe miasto w województwie kieleckim. Ten fakt rzuca zapewne na pracę Wydziału Kultury i na całe życie kulturalne...

— Oczywiście. Nasz Wydział Kultury, podobnie jak wszystkie takie wydziały w miastach powiatowych, składa się z dwóch osób, a zakres obowiązków, w porównaniu z innymi, „normalnymi” miastami powiatowymi, jest niewspółmiernie wielki. Bezpośrednio podlegają nam takie placówki i instytucje kulturalne, jak Biblioteka Miejska, Muzeum w Radomiu, Średnia Szkoła Muzyczna, Szkoła Muzyczna stopnia podstawowego, Ognisko Muzyczne,

Ognisko Plastyczne. Opiekujemy się także placówkami, które są przez nas dotowane. Należą do nich: Orkiestra Symfoniczna, Radomskie Towarzystwo Naukowe, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, Radomskie Towarzystwo Fotograficzne, Klub Literacki, Klub Filmowy, Ognisko Baletowe... Budżet tych placówek, kadry, remonty, nowe inwestycje, organizacja działalności — wszystkie te prace leżą w gestii Wydziału Kultury. A przecież urządzamy także wszelkie obchody świąt państwowych i miejskich uroczystości... Są jeszcze kina, teatr, Dom Książki — w zasadzie podległe Wydziałowi Kultury WRN w Kielcach, a w rzeczywistości z większością spraw zwracające się

bezpośrednio do nas, jako do „własnego” Wydziału. I mają rację...

— A przecież jest jeszcze sztuka ludowa, imprezy estradowe, zabytki i wiele innych problemów. Czy środki finansowe, którymi Wydział dysponuje, są również obfite?

— Niestety, budżet zajmuje mniej miejsca i uwagi. Oto np. potrzeby placówek dotowanych — maksymalnie już zostały ograniczone — to 280 tysięcy złotych rocznie, tymczasem limit budżetowy dla organizacji społecznych, przyznany przez WRN w Kielcach, zamyka się sumą 40 tysięcy.

W tej sytuacji musimy ciągle liczyć na pomoc MRN i pomoc tę otrzymujemy...

— Wydaje się, że podział funduszy przeznaczonych na kulturę jest nieco

(Dokończenie na str. 12)

Kultura nad Mieczną

Suchy dok-Medyka

(Dokończenie ze str. 1)

właściciel Żurawicy (przejął ją z rąk Stądzińskiego), człek bogaty i rozrzutny, nie trzymający węża w kieszeni, złożył się, że w pełni lata na saniami do Przemysła załaduje. Podobno zakład wygrał. Na saniami zjechał, ale po drodze wysypanej cukrem.

Taka była kiedyś Żurawica; dzisiaj, oczywiście, jest inna, nikt nie jeździ na saniami, ludzie wołają autobus lub pociąg. I rozrosła się bardzo od tamtych czasów, obecnie są już dwie Żurawice, ta, o której było mowa wyżej, i druga: Rozrządowa.

Światła. Ogromna ilość światła. Jarzeniówki na wysokich słupach przemieniają noc w dzień. Kłębowski szyn. Kolejarze i ruch wielkomięjskiego dworca.

Nic więc dziwnego, że Żurawica Rozrządowa myli zawsze podróżnych, którzy nie znają tych okolic i jadą tędy po raz pierwszy. Podróżni chcą wysiadać lub podchodzić do okien, pytają... Ktoś mówi: przeładunek. I wtedy wszystko staje się jasne, każdemu chyba obito się o uszy, iż Żurawica wraz z pobliską Medyką — to kolejowe porty łączące nas ze Związkiem Radzieckim. Z tego właśnie powodu Żurawica cieszy się pewnymi przywilejami nawet w rozkładzie jazdy. Na tej małej stacyjce zatrzymywali się swego czasu ekspres „Karpaty” kursujący na trasie: Warszawa — Lublin — Przemysł — Lwów — Bukareszt. Pociąg ten, gdy jeździł w godzinach rannych, zabierał w Przeworsku tłum ludzi w brudnych kufajkach; ludzie ci wysiadali w Żurawicy, pociąg pędził dalej, a nieliczni Rumuni, z którymi nikt nie umiał się dogadać, byli bardzo zdziwieni.

Stoją przy dworcowym bufecie i piją piwo. Twarze mają przyprószone czerwonym pyłem. Są zmęczeni. Co chwila niecierpliwie spoglądają na zegar. Zaraz będzie ich pociąg. Jeszcze ostatni tyk piwa i można powoli iść na peron.

Ciekawe: Przemysł, jak również jego okolice, gdzie o dobrej płatnej pracę nie jest zbyt łatwo, stroni raczej od roboty przy rudzie. Niektórzy tylko, i to przezwyczajeni sezonowo chwytają za łopate. Popracują, zarobią, ojedzą. Natomiast ci, którzy są tu i kilka lat nawet, to ludzie spod Przeworska i Dynowa. Aby dotrzeć do pracy, jadą naprzód wąskotorową do Przeworska, potem normalną linią do Żurawicy lub Medyki. Pracują, oczywiście, na zmianę i nie szczędzą sił, bo można zarobić. Trudno jednak nazwać ich „robotnikami”. Każdy z nich ma kawał pola, czasami nawet dosyć spory. Są to chłopci-robotnicy, którym praca na zmianę umożliwia prowadzenie gospodarstwa dając zarazem korzyści materialne w postaci gotówki.

Ten, który jest mniej zmęczony od swoich kolegów, zapala papierosa i mówi:

Ja jeszcze rok, bo pięć lat już minęło, nie chcę więcej, boję się o zdrowie, pylica, więc tylko rok, bo... wyciąga przed siebie rękę i wylicza kolejno na palcach: — Elektrykę muszę w domu zrobić, wóz na gumowych kołach kupić i zęby dla żony...

— Ile zarabiacie?
— Dwa i pół, trzy, więcej, to zależy...
— Od czego?
— Od rudy. Od transportów. Jak jest dużo, to lepiej. Akord.
— Ciężka robota?
— Na początku ciężka, potem już nie; na początku, jak się przyjdzie, to łamię w krzyżu, ale człowiek przy-

zwyczajony, w polu, panie, też ciężko, teraz zresztą robią maszyny, odmrażalnie są, gdy ich nie było, to się harowało, ruda w zimie twarda jak skała, trzeba było rozwałkać młotem pneumatycznym, ale teraz są już odmrażalnice, pociąg wjeżdża do komory, puszcza gaz albo ciepłe powietrze i już, sypie się ruda, ale spieszyć musimy, bo znów zamarza...

W lecie odmrażalnice stoją bezczynnie. Trudno jednak wyobrazić sobie pracę podczas mrozów bez odmrażalni. A było tak! Kilka lat temu łopata, kilof i młot stanowiły jedyne narzędzia, którymi pracowano przy rudzie. Obecnie jest bez porównania lepiej: coraz więcej maszyn zastępuje siłę ludzkich mięśni. Żurawica wprawdzie dość często posługuje się jeszcze łopata, zupełnie inaczej natomiast wygląda sytuacja w niedalekiej Medyce.

Jan Gwałbert Pawlikowski dbał o swoją posiadłość; złożył tu pierwszą w Galicji szkołę ogrodniczą (1831 r.), a jego park słynął w Europie i liczył około miliona drzew, krzewów, egzotycznych kwiatów. Wspaniałych zbiorów sztuki J. G. Pawlikowskiego nie ogląda się już w Medyce, są one w Ossolineum we Wrocławiu, będąc jednak w tej miejscowości pod Przemysłem warto przyrzec się — chociażby przez chwilę — pracy stacji przeładunkowej, której początków nie trzeba szukać w podręcznikach historii, bo stacja jest młoda — powstała w minionym naszym dwudziestolecu.

Nie dojrzyz tu zbyt wielu ludzi. Zamiatają — maszyny. Przeładunek zmechanizowany. Radzieckie wagony z rudą wjeżdżają na estakadę, następuje otwarcie kłap znajdujących się na dnie wagonów (tę czynność musi wykonać człowiek), potem ruda sypie się do kanałów i do dzieła przystępuje maszyna: suwnica. Bardzo zwinna maszyna, aż przyjemnie patrzeć, gdy pracuje! Obsługiwana przez jednego człowieka, może poruszać się w kilku kierunkach: naprzód i w tył (po szynach); oprócz tego wysoko zawieszony wagonik, w którym siedzi dźwigoł, jeździ swobodnie od słupa do słupa suwnicy. A ciężka ruda — od której ręce kamienieją, która wdzierają się do płuć — nie może zaszkodzić człowiekowi, bo połączona pęskiem dźwigu i przeniesiona kilka metrów nad ziemią śląda grzecznie w polskich wagonach. Następuje ważenie, a potem odjazd: ruda wędruje do hut, piece nie mogą czekać.

Medycki port pracuje bez przerwy; intensywność jego pracy zależy, oczywiście, od liczby transportów. W porcie nie ma jednak niedziel i świąt.

I gdy niedzielnym, podmiejskim pociągiem wracając wyczerpi, rozszerezeni pasażerowie — jadą również zmęczeni ludzie w brudnych kufajkach. Jeśli kiedyś spotkacie ich na trasie Przeworsk — Przemysł, nie dziwicie się jak Rumuni. Są to bowiem chłopci-robotnicy, dokerzy suchego doku: Medyka.

Adam Janusz Bień



Parawan Bartelskiego

W 15 n-rze „Kamień” ukazał się obszerny artykuł Lesława M. Bartelskiego o Gałczyńskim. („Opisanie poezja czyli tajemnica Konstantego”). Jeśli autor po tytułu artykułów i książkach o poecie też podjął temat i jeśli redakcja, która wleciała cierpi na brak miejsca, zdecydowała się szkic wydrukować, to musi on być interesujący. Tym bardziej, że jest z książki „W kręgu bliskich”, a więc albo bliskich sercu — i dowiemy się, jak znany literat, Bartelski, widzi Gałczyńskiego — albo bliskich znajomych — i dowiemy się czegoś nowego o człowieku, jego wartości, literackiej biografii. Tymczasem w miarę czytania zainteresowanie przetrza się w konsternację i zawód. Żeby choć prowokował do polemiki! Ale poza zbeletryzowanym ujęciem na pierwszej stronie i relacją z osobistych kontaktów na ostatniej, z resztą trudno się zgodzić i trudno się nie zgodzić.

Właśnie ta metoda — zjawisko szerokie, przez Bartelskiego zdaje się jednak realizowane konsekwentnie i programowo, o czym świadczyłyby „Genealogia ocalonej” i świd Tomasz Burka w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 33) — budzi zaniepokojenie i zmusza do protestu. Na czym ta metoda polega? Na mechanicznym, niestety, mariżu literata z krytykiem i kronikarzem z esejistą, sceptyka z entuzjastą. Nie prowadzą one do wyników poznawczych, nie dają też artystycznej wizji. Co daje? Czytelnikowi niewiele, dla autora zaś to jest wygodnym parawanem. Jako literat wolności jest od „pedanterii” polonistycznego dubiania, może pozwolił sobie na niedokładność, wykorzystał sądy innych jako własne (by nie być gołosłownym: w „Genealogii ocalonej” s. 32-33 ponad pół strony zajmują dwa dosłowne cytaty z artykułu Trzebińskiego „Pokolenie liryczne i dramatyczne” nie zaznaczone cudzysłowem; na s. 34, 56, 57, 197 Bartelski przytacza dosłownie relacje Trzebińskiego, jako swoje relacje, a w artykule o Gałczyńskim to samo robi z anegdotą Słobodnika o perypetiach poety w wojsku). Jako krytyk może pozwolił sobie na swobodne oceny, na epatowanie erudycją, znajomością. Niedostatek w faktach można próbować na modę fikcji literackiej, luki w konwencji realizacyjnej, luki w stworzeniu portretu beletrystycznego można latać faktami.

Metoda ta pozwoliła napisać obszerny artykuł o Gałczyńskim, artykuł, który jest zlepkiem pozbieranych sądów i wyrzykowo opowiedzianej biografii. Przypomina mi jako żywo wypracowanie na zadany temat dowolny, kiedy uczeń stara się wreszcie w ów temat i wykorzystuje wszystko, cokolwiek wie o nim.

(Dokończenie na str. 15)

KRYSTYNA WIŚNIEWSKA Na rozdrożu

Kiedy przyjdzieś na świat
to będzie miesiąc usychania liści
pokuty kwiatów
na wrzosowiskach
chylonego nieba
na które zapytasz oczami
Wtedy
odwrócę ku tobie swoje lata
spóźnione o wlotczęę

Łódź

HUBERT GRAJEK Szarada

Moja matka
ma trzy zmarszczki
na czole.
Pierwsza — troski,
druga — try,
a trzecia — miłość.
Dwie pierwsze
składają się na ostatnią,
diatego ta jest
największa.

Lublin

MARIAN BOGDAŁA Ten piękny

Ten piękny Lublin
pod zieloną gwiazdą
ze swoim
modrzewiem
z koziołkiem
spoglądającym ku górom
zachodzący
za ukraińskie
jak kometa
o białych komnatach
rysująca śniegi

Kraków

KONIEC LATA



(Dokończenie ze str. 1)

jako... ośrodek przemysłowy. Staw za-truty ściekami browaru, huk traktorów zwożących drzewo do tartaku wprawia w drżenie wille i letników. Rozbudowuje się fabryka mebli. Czym będzie Zwierzyniec za dwadzieścia lat? Czym będzie Nałęczów? Niby, w założeniu, „oaza” ciszy i spokoju, gdzie ukojenia szukają ludzie z nadzarpniętymi nerwami — a zarazem pięknie rozwijający ośrodek szkolnictwa. Czy protestuje przeciwko... oświacie? Nie, ale wątpię, czy dwa tysiące młodych ludzi może „koegzystować” ze starszymi paniami, zękanymi życiem. W dodatku rozbudowuje się „ustugi” — dla potrzeb okolicznych wsi. Jak gdyby tej roli nie mogła spełniać pobliska Wą-wolnica.

Obserwujemy ostatnio tendencję (z

punktu widzenia psychologii odpoczynku bardzo szkodliwą) do rozwoju turystyki indywidualnej, w małych, niezorganizowanych formalnie grupach. Wszelako dla tych turystów tak zwana „baza noclegowa” w naszym województwie jest znikoma. Kilka schronisk i stacji turystycznych PTTK (Oddział Lubelski jest prawdziwym Kopciuszkiem) — nie rozwiązuje problemu. Turysta indywidualny wazędzie napotyka zamknięte — często żelaznymi bramami — ośrodki przedsiębiorstw i instytucji — i oczywiście, odchodzi „z kwitkiem” — nie za nocleg... Ośrodki otwarte dla wszystkich — na przykład należące do rad narodowych — można również policyć na palcach.

Tu dochodzimy do sprawy niezmiernie istotnej — rady narodowe nie są

zainteresowane materialnie w rozwoju turystyki na ich terenie. Tylko dobra wola, godna podziwu, jest przyczyną na przykład czulej opieki władz Zaklikowa nad przystanią i ośrodkiem campingowym, dobra wola tylko sprawiła, że mieszkańcy bilgorajskiego Józefowa chcą w czynnie społecznym budować „dom turysty”. Turystyka — to dla miejscowych władz tylko... kłopoty. Turystki — to tylko „stonka”, spadająca na sklepy i gospody i oczyszczająca je z wiktuałów. Zwiększenie przydałoby w sezonie dla miejscowości turystyczno-wypoczynkowych a właściwie przereżenie ich tylko — okazuje się dla naszej machiny dystrybucyjnej wciąż zbyt trudnym zadaniem. Łączna „turytyczna stolica Pojezierza”, nie otrzymała ani kilograma mięsa więcej.

Chlubnym wyjątkiem był Kazimierz, gdzie można było dostać nawet kabano-... Ale już o jakimś wyróżnieniu sklepów GS przy trasach turystycznych nikt nie pomyślał. „Obiektywne” przyczyny traktowania turystów jako stonki i intruzów — w rzeczywistości tkwią w subiektywnych błędach naszej dystrybucji. Nawet w Lublinie kilka dni trzeba krążyć po sklepach, by znaleźć kilka puszek jakichś jadalnych konserw. Znow „przyczyny obiektywne”? Dlaczego więc nie ma tych poczyn w innych województwach?

Żaś już zupełnie żalonym faktem jest to, że w lubelskich księżarniach nawet za dolary — a było u nas niemało turystów zagranicznych — nie dostanie żadnej mapy ani przewodnika po województwie — nawet tych starych, zupełnie zdezaktualizowanych (bo choćby nowych drog budowaliśmy wiele dziesiątków kilometrów). Tak propagujemy u nas turystykę...

A mimo wszystko — rozwija się ona. Sądząc tylko, że większa to zasługa piękna naszej Ziemi Lubelskiej, niż wszystkich organizacyjnych zdelinów. I tak się skończyło. Ale warto pamiętać, że za rok będzie następane.

Janusz Daniłak

CZEGO oczekujemy?

Dyskusja
o teatrze

Jakim jest i jakim powinien być teatr? Te dwa pytania i próba odpowiedzi na nie — zgromadziły obfity materiał, produkt wielu dyskusji, rozmów, wypowiedzi prasowych, radiowych i telewizyjnych. Debata o teatrze toczy się w naszym kraju i poza nim. Nie ominęła również Lublina. Vide: dyskusja na łamach „Kamieny”, „Sztandar Ludu” i „Kuriera Lubelskiego”.

Zorganizowane w dniu 26 sierpnia br. spotkanie przedstawicieli środowisk twórczych oraz niektórych organizacji i instytucji pozwoliło szerzej skonfrontować punkt widzenia na sprawy naszego teatru, ustalić nową listę pytań i wątpliwości. Rezultaty? Uporządkowanie argumentów, które pozwalają stwierdzić, że:

1. w teatrach jest źle; 2) niezmiernie powściągliwie szkodzący z różnych przyczyn obraz trudności teatru, notowanych dziś jako sygnały, jutro może się nam objawić jako proces znacznie trudniejszy do rozwikłania; 3) straty po obu stronach rampy są dostatecznie duże i zniewalają do rozmowy na serio, zmierzającej do wyluskania niedomagań w całej rozciągłości i rozmiarach; 4) to, co się dzieje na scenie, jest konsekwencją tego, co się dzieje za kulisami, a „homo theatralis” ma tu najwięcej do powiedzenia; 5) środowisko teatralne choć na pewno specyficzne, nie rządzi się mistycznymi prawami, można więc szereg spraw uporządkować.

Wszystkiego, co poniżej, nie należy traktować jako recepty. Do listy dotychczasowych pytań pragnę dorzucić trochę nowych z nadzieją, że dyskusja będzie kontynuowana, a jej rezultaty doprowadzą do konstruktywnych ustaleń. Teatr jest bowiem instytucją społeczną, w jej trwałość nikt nie wątpi, niezależnie od chwilowych perturbacji.

Nie tylko repertuar

Dyskusja, przy zaangażowaniu czynnika społecznego i szerokiej z nim konsultacji — pozwoli na skuteczniejsze opracowanie koncepcji przez teatr.

W dyskusji tej jednakże, jeśli chce się ją na serio traktować, a nie jedynie laurkowo czy reklamowo — należy sięgać po wszystkie problemy, które bardzo często są wstydliwie omijane. Mankamenty bowiem, które możemy wyłowić w pracy teatru, rzutują w sposób oczywisty na atmosferę w środowiskach twórczych, tak jak z kolei klimat w tych środowiskach wyznacza w dużej mierze granice działalności teatru. Taki kierunek dyskusji, choć sugeruje sporządzenie raczej deficytowego menu — nie rysuje żadnego konfliktu, żadnego pęknięcia. Nie oznacza on też nawoływania do jeremiady, rozdzierania szat itp. Jedną intencją przyświeca, bądź powinna przyświecać, wszystkim dyskutującym: kierując się zdrowym rozsądkiem należy szukać dróg i sposobów usprawnienia pracy teatru.

Rzecz w tym jednakże, że nie chodzi tu wyłącznie o sam repertuar, który jest tylko światłem odbłaskowym możliwości realizacyjnych teatru. W wielu środowiskach panuje, niestety, fałszywy pogląd, którego żywot jest niesłychanie twardy, pogląd polegający na upatrywaniu źródeł niedomagań teatru w wadliwie ustawionym repertuarze, w takim a nie innym doborze sztuk. Jest to zubożony, niepełny wizerunek borykającego się z trudnościami teatru. Ci, którzy chcą leczyć od tej strony teatr, przypominają człowieka, który chciałby zagrać koncert skrzypcowy na jednej tylko strunie.

W próbie ustalania różnych diagnoz i określenia choroby teatru, obok rozpoznania pt. „brak koncepcji repertuarowej” wymienia się też „konkurencję ze strony TV” oraz „dezintegrację i oderwanie się teatru od teatru”, jako postać konsekwencji działania telewizji, a dróg wyjścia z takiej sytuacji poszukuje się — jak zauważa we „Współczesności” (Nr 16/1965) J. Koenig — „... od końca, od szukania partenera na widowni, nim jeszcze została przeprowadzona próba generalnego uporządkowania samego teatru...”.

Nie stawiając żadnej z diagnoz możemy wylczyć symptomy choroby.

Niektóre z nich mają charakter szerszy, ogólnopolski.

Jest to więc nie najlepsza sytuacja organizacyjna teatrów, związane z tym zagadnienie funduszu osobowego i norm aktorskich, bądźmy szczerzy — żonglerka finansowa. Nadto: niekonięcznie duży wybór sztuk współczesnych o swalorach ideowych i artystycznych, deficyt kadry reżyserskiej i niewątpliwie słabo przygotowywany młody narzybek aktorski, a także konkurencja TV.

Ta grupa spraw, choć niewątpliwie ma istotne znaczenie — leży poza możliwościami najszybszego ich wyeliminowania, przynajmniej jeśli się zważy nasze w tym względzie możliwości. Musimy i możemy jednakże, żywiąc nadzieję, iż sprawy te będą rozstrzygnięte, ustosunkować się do nich, zakładając, iż działamy właśnie w takich a nie innych warunkach, szukać rozwiązań najbardziej efektywnych, eliminując te niedomagań, które można, te nasze, miejscowe.



„Aktor” Norwida (Teatr im. J. Osterwy) w TV. O telewizyjnym spektaklu piszemy na str. 14 Fot. Maj

I nad tymi sprawami powinniśmy toczyć dyskusję, inaczej, jeśli skoncentrujemy się tu, gdzie bardzo mało albo nie wskórać nie możemy — debata będzie jałowa, będzie przypominała finał meczu, który się nigdy nie odbył. Zastanawiając się nad możliwościami lokalnych niedomagań, mamy szansę, by je wyeliminować, niekonięcznie zakładając, że uzyskamy stan idealny. Ale musimy to zrobić, nie czekając na decyzje administracyjne wysokiego szczebla. Musimy te decyzje prowokować!

Symptomy choroby

Jakie to są objawy zewnętrzne choroby naszego teatru?

Przed wszystkim spadek poziomu artystycznego, przy realizacji często wartościowych sztuk repertuaru. Dalej: nadmierne zmiany repertuarowe, nie zawsze powodowane tzw. obiektywnymi przyczynami, brak głębiej przemyślanej pracy wewnątrz teatru z zespołem aktorskim nad doskonaleniem jego sprawności i warsztatu. Wreszcie, co jest nader istotne: brak sprężynienia i systemu współdziałania z innymi przedsiębiorstwami i instytucjami w zakresie upowszechnienia kultury teatralnej i popularyzacji teatru oraz organizacji widowni.

W tej, jakże uproszczonej, próbie wylczenia najbardziej uchwytłych, zauważalnych objawów chorobowych teatru — akcent został położony nie na repertuar, a na te elementy, które, moim zdaniem, mają podstawowe znaczenie dla dobrze pracującego teatru.

Położenie akcentu na powinności teatru, uszeregowane w sposób nieprzypadkowy, widziałbym następująco: reżyser wspomagany kierownictwem literackim, tworzący wizję teatru na okres kilku lat, przy pomocy repertuaru, który — jak to się mówi — „coś załatwia”, a którego linia powinna uwzględniać pewne kryteria i zasady, pozwalające usadowić ten repertuar w konkretnej sytuacji Lublina i województwa, w okresie dłuższym aniżeli jeden sezon. Repertuar powinien być realizowany w przedstawieniach, które będą szacunkiem dla sztuki gry aktorskiej, które są przygotowane finałem aktorskiego warsztatu oraz pomysłowością reżysera i scenografa. Ci ostatni muszą nadać realizację tego repertuaru również akcent osobistych upodobań, co w konsekwencji decyduje o stylu każdego teatru i jego niepowtarzalności.

To, co ukazuje się więc na deskach sceny teatralnej: konkretny repertuar — jest następstwem szeregu elementów, które muszą być spełnione, jeśli żąda się dobrego teatru. „Zagranie” tych wszystkich elementów tworzy właśnie dobry teatr. A im lepszy jest teatr, im bardziej ambitny, tym lepszy pod każdym względem wymaga sztuk i tych, które legitymują się problematyką większego kalibru, i tych wart-

bowiem w 1962 roku telewizor posiadał co tysięczny obywatel, dziś dysponuje nim co dwunasty. W Lublinie więc zarówno w dziedzinie frekwencji jak i liczby spektakli teatr nie osiągnął poziomu z lat 1961—62.

Można natomiast mówić o pewnej stabilności widza w terenie. Tu od roku 1959 liczba widzów utrzymuje się w granicach 70 tysięcy, w ostatnim roku przekroczyła 81 tys. Stabilność ta nie wynika jednakże z faktu trwałego zdobycia widza a ze zwiększonej liczby spektakli. Jeśli bowiem w roku 1962 teatr w terenie wystawił 200 spektakli, to w roku 1964 — 241.

Spada też „średnia widza” na jeden spektakl. W 1961 roku liczba widzów na jedno przedstawienie wynosiła 371 osób, w roku zaś 1963 — 343 i 364 w roku 1964. W terenie depresja ta jest jeszcze większa: liczba widzów na jeden spektakl spada tu z 434 w roku 1962 do 232 w 1964.

Jak przedstawia się wykorzystanie sali teatru, dysponującej 339 miejscami? Od 1961 roku odsetek wypełnienia widowni stale maleje: z 69 proc. w roku 1961 do 47,5 proc. w 1964. Znacząco to, jeśli przyjmiemy, iż w ciągu ostatnich czterech lat widownia była wypełniona średnio w 53 proc., że w lubelskim teatrze mogłoby się zmieścić rocznie jeszcze około 100 tysięcy widzów.

Co można powiedzieć o repertuarze dotychczas realizowanym? Jakiego rodzaju i stylu dramatyczne zdają się cieszyć największym powodzeniem? Jacy autorzy byli najczęściej grywani? Przytoczone niżej liczby dotyczą ostatnich pięciu sezonów (1961—1964) kiedy to teatr zaprezentował 43 premiery. Otóż 55 proc. granego u nas repertuaru to klasyka zachodnia i polska. Ta pierwsza, przede wszystkim angielska, wypełniła blisko 33 proc. repertuaru, polska zaś — około 22 proc. Pozostałą listę premier uzupełniają dramaturgia współczesna, w tym sztuki współczesne polskie — ponad 14 proc. i obce — ponad 30 proc. repertuaru. Grupa sztuk obcych obejmuje więc około 2/3 repertuaru, z tym, że zestaw współczesnych sztuk zachodnich, granych w Lublinie, dwukrotnie przewyższa pozycję, jaką zajmują te sztuki w repertuarze ogólnopolskim. Poza więc orbitą zainteresowań teatru pozostały w zasadzie sztuki radzieckie i rosyjskie, a także dramaturgia innych krajów socjalistycznych.

Na liście polskich autorów grywanych najczęściej znajdowali się obok Zapojskiej — Zeromski, Wyspiański, ze współczesnych — Kruczkowski, Grochowiak i inni. Klasykę angielską reprezentował Szekspir, francuską — Moliere, sztuki współczesne Zachodu m. in. Dürrenmatt, a także Hemingway.

Które ze sztuk cieszyły się największym wzięciem u publiczności?

Na czele listy znajduje się, grany na przełomie sezonu 1960/1961, „Sulkowski”, który to spektakl obejrzało 69 411 widzów, na drugim miejscu (56 962 osoby) uplasowała się „Ania z Zielonego Wzgórza”, na trzecim zaś „Makbet” — 42 003 osób. Dalsze miejsca zajmują: „Cyd”, „Grzech”, „Opera za trzy grosze” i „Moralność pani Dulskiej”.

Mając na uwadze zestaw najbardziej frekwencyjnych spektakli z ostatnich kilku lat, nie można chyba wytypować gatunku sztuk wodzących ani też z całą dokładnością stwierdzić, iż publiczność dokonała wyboru pomiędzy sztukami czysto rozrywkowymi, a tymi „dającymi do myślenia”, intelektualnymi.

Uważam, iż były to przede wszystkim sztuki dobrze grane, a widz, idąc na te przedstawienia, mógł odkryć, iż teatr to jednak coś innego, niż sądził.

Na jednej fali

Zdaje sobie w pełni sprawę z faktu, iż sytuacja teatru w miastach monoteatralnych, a takim jest Lublin — nie jest łatwa. Nie sądzę jednakże, by przy szukaniu dróg naprawy najistotniejsze były szczegóły techniczno-organizacyjne i pozaartystyczne. Ważne jest, by wszelkie elementy, które tworzą teatr pracowały na jednej fali, na jednej długości. W dyskusjach wszystkim nie rozstrzygniemy. Sprawy, o których mowa, będzie rozstrzygał teatr i życie. Łatwiej będzie o te rozstrzygnięcia i decyzje — jeśli wszyscy sobie uświadomimy, że istnieje określony stan faktyczny, którego nie brać pod uwagę po prostu nie można.

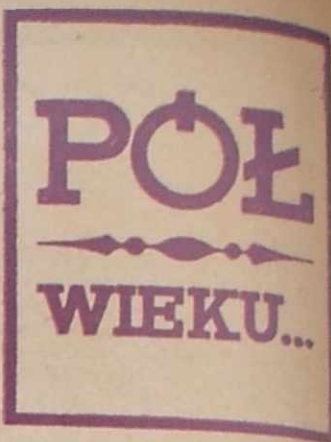
ściowych pod względem formalnym, a precyzyjnych od strony warsztatu pisarskiego, wzbogacających przecież w sumie możliwości aktorskie i poznawcze widowni.

Wymowa liczb

Jak owe negatywy konkretyzują się? Operując materiałem liczbowym, pragnę się zastrzec, iż komentarze przytoczonych tu wielkości muszą być sformułowane z zachowaniem wszelkiej możliwej ostrożności. Teatr bowiem, jeśli jest warszatem pracy, to wielostronnej pracy artystycznej i do należącego jego funkcjonowania niezbędna jest zorganizowana współpraca nie tylko wielu dziedzin sztuki ale i szeregu innych czynników.

Poczynając od roku 1953 do roku 1960 liczba spektakli systematycznie wzrastała, osiągając swój szczyt na przełomie lat 1960/61, tj. 370 przedstawień. Od tego czasu liczba zrealizowanych przedstawień spada do 362 w 1963 roku i 354 w 1964. Liczba premier w ostatnich czterech latach utrzymuje się w granicach 5—10 rocznie, przy minimalnych odchyleniach od planu. Analogiczne tendencje w identycznych okresach obserwujemy w dziedzinie frekwencji. Od 1952 roku liczba widzów wzrasta z 145 895 osób do 218 968 w 1961 roku. Następne dwa lata przynoszą zmniejszenie frekwencji. Rok 1964 zamyka się 203 567 osobami. Charakterystyczne jest tu, iż poczynając od 1961 roku mamy do czynienia z większym spadkiem widza aniżeli spektakli. W 1964 roku bowiem teatr w zakresie spektakli osiągnął 69 proc. stanu z 1961 roku, w zakresie zaś widza 92,1 proc.

Frekwencja niejednolicie kształtuje się w siedzibie i terenie. W Lublinie systematyczny spadek frekwencji daje się zauważyć od roku 1953. W roku tym przez teatr w Lublinie przewidywano się 215 510 osób, w roku zaś 1963 — 181 071 i 121 626 w roku 1964. Warto to podnieść w kontekście problemu TV. Jej „wybuch” na Lubelszczyźnie i w Lublinie — to ostatnie dwa lata. Jeszcze



GDZIES w archiwach Szkoły Ogólnokształcącej stopnia podstawowego i licealnego im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie Lubelskim istnieje dokument mówiący, iż Anno Domini 1947 autor tych wspomnień i jego kilkunastu kolegów otrzymali świadectwa dojrzałości. Była to trzecia matura po wojnie, trzecia matura w uczelni, która liczy już lat pięćdziesiąt i teraz właśnie obchodzi ów dorodny jubileusz. Z tej okazji, tradycyjnym zwyczajem, odbędzie się w Chełmie zjazd absolwentów i wychowawców. Komitet Organizacyjny zjazdu przygotowuje okolicznościowy wydawnictwo. Niżej podpisano zaproszenie do napisania wspomnień z okresu „niebieskiego mundurka”. Niestety — mea culpa — nie zdążyłem w określonym terminie. Rehabilituję się na łamach „Kamenu”. A przynajmniej próbuję.

Wspomnienia piszę się jednak szybko, gdy wystukuje już sześćdziesiątka i gdy człowiek dokonuje jakby bilansu drogi, którą przeszedł. Dla mnie okres gimnazjalny ciągle jeszcze jest zbyt świeży i gdy odwołam szacowne mury „Czarniecczaków” niemal mimo woli kieruję kroki do klasy, która zawsze będzie bliska...

Widzę zmarłego przed kilkoma laty Michała Kińczyka, bez pamięci zakochanego w łacinie. Może wyczyta moje nazwisko i każe recytować: „Dicamus bona verba, venit natalia ad aras...”

Mineło dwadzieścia lat od chwili, gdy wkuwałem te strofy, ale pamiętam je lepiej niż pacierz. M. Kińczyk należał do tych pedagogów, którzy potrafili nie tylko nauczyć ale i rozbudzić zainteresowania (jeśli nie miłość nawet), wykładanym przedmiotem. Prawda, że był bardzo wymagający, że potrafił podnosić głos, ale miał osiągnięcia, których moglibyśmy mu pozazdrościć inni nauczyciele.

Najlepiej lubiłem jednak lekcje języka polskiego. P. Zofia Książek jeszcze dzisiaj wyklada w szkole. Zapewne pamięta wielogodzinne próby „Dziadów” Mickiewicza, których w końcu nie było nam dane wystawić. Ciągłe dźwięczy mi w uszach głos Konrada —

Bogdana Karczewskiego czy baryton Łuska Pyrowicza-Sobolewskiego. Założyliśmy przy szkole kółko literackie, którego patronem był Jan Kasprówic. Dyskutowaliśmy nad poezją dawną i nową, staliśmy boje propagując twórczość Juliana Przybosa, redagowałem ścienną gazetkę wypełniając ją przeważnie własnymi wierszami.

Kiedys — chyba mogę dziś o tym napisać — Pan Zofia oddała mi zeszyt z klasówkami, w którym znalazłem list pisany rzekomo przez Jana Kasprówicza. To będzie bardzo osobiste, ale po latach muszę przyznać, że Pani Zofia scharakteryzowała mnie nie najgorzej. Zachowałem ten dokument.

„Od pewnego czasu — pisał „Jan Kasprówic” — usiłujesz nakazać sobie spokój wewnętrzną, co niekiedy daje pewne rezultaty, niekiedy jednak wykazuje całą bezowocność wysiłku. Fakt ten w niczym sprawy nie przesądza; może być tylko okazją do wypowiedzenia takiej uwagi, że warunkiem spokoju zewnętrznego, siły i opanowania, jest uzyskanie w jakimś stopniu spokojnej wewnętrznej, pewności i równowagi. Daleko Ci jeszcze do nich! Gdy patrzę na Twą twarz, tak łatwo do czytania, gdy obserwuję na niej reakcję na przelotne wrażenia, budzi się we mnie podejrzenie, że istotą Twoją wnętrza, motorem Twoich czynów jest jakaś gorączkowość, która niepokoi. Niepokoi zaś dlatego, że tak łatwo pozwala przewidzieć likwidację każdej sprawy przed doprowadzeniem jej do końca...”

Hmm... Komentarze niech dopiszą moi współpracownicy z „Kamenu”. Ile to już było pomysłów?!

A swoją drogą ów list ma jeszcze inną wymowę — o szerszym zasięgu. Chciałbym spotkać dziś pedagoga, który tak serdecznie potrafi pisać do swego wychowanka i tak go... znać.

P. Kazimierz Janczykowski należy do grona seniorów. Ale porozmawiamy z nim dzisiaj jeszcze: energia dwudziestolatka. Chociaż wykladał geografii, lekcje często przeradzały się w dyskusję na temat aktualnych wydarzeń międzynarodowych. Lata 1944—1947 obfitowały w wiele interesujących przeżyć. Pamiętam, z jakim ubo-

żeniem przyjmowaliśmy pierwsze wiadomości o holubieniu Niemiec przez Amerykanów i Anglików. P. Janczykowski należał do tej grupy osób, które szybko zrozumieli, jakie korzyści daje Polsce przesunięcie jej granic na Zachód, powrót Wrocławia i Szczecina. Nie przypuszczałem, że w tym Szczecinie, który dla mnie był wówczas tylko punkcikiem na mapie, spędzę siedem lat i miasto to polubię tak, jak można tylko lubić gród rodzinny. Myślę, że w rozpaleniu tego uczucia ma swój udział i czelidony geograf.

Wychowawcą klasy był P. Stefan Kosiba. Najchętniej stawał blisko pieca, zakładał ręce do tyłu i wykladał historię. Zawsze podziwiałem, że nie płacząc mu się daty. Ale dla niego historia była przecież dniem powszednim. Wytrąnym pedagog zawsze twierdził, że mógłby się bardziej przyłożyć do jego przedmiotu. Znacznie większym zainteresowaniem darzył jednak Układ Poczdamski niż statuty niesławskie. Tak pozostało i w przyszłości...

Matematyk, P. Eugeniusz Ziemia, nawet mnie nie próbował agitować. Widocznie sądził, że i tak wystarczy mi w życiu znajomość tabliczki mnożenia. Bez pytania stawał mi zawsze trójka, na świadectwie maturalnym również, zresztą jedyną. Nie miałem i nie mam za to do niego żalu, chociaż poza tabliczką mnożenia umiem się i dzisiaj obchodzić z logarytmami. Ale dla zrobienia wierszówki — przy wycenie numeru — żeby się zmieścić w normie, i tak nie potrzeba logarytmów. Raczej... krótki ołówek.

A moi koleżdy? Rozpierzchnięli się po świecie. Stasio Szelewicki, który ubrało cywilnie zamienił na sutanne, zginął w wypadku samochodowym. Ten sam tragicznie los spotkał zdolnego Walerego Smirnowa, późniejszego lekarza. Walery, choć był o klasę niżej, żył ze mną na przyjacielskiej stopie.

Gdy mowa o „młodszych”. Kilku z nich kroczy wzdłużką, a niekiedy ciernistą drogą dziennikarską. Lech Winiarski pracuje w kieleckim „Słowie Ludu”, a Stasio Bielecki w „Polityce”. Chełmianin, chociaż jak mi się zdaje nie „Czarniecczak”, Stefan Janu-

siewicz — w „Głosie Szczecińskim”. Tomek Szymanek przez pewien czas terminował w PAP-ie, ale później stał pióro dziennikarskie i należał do szeregów Bogusława Karandyżewskiego. Jest zaś teraz i sekretarzem KP PZPR w Nowogardzie na Ziemi Szczecińskiej. Przez dwa lata blisko współpracowaliśmy ze sobą. Zapomniałbym a dzisiejszych krakowiakach: Tunio Podkowa prowadził dział depeszy w „Gazecie Krakowskiej”, a Władec Mostowski, dawny działacz ZWM, pracuje podobno w krakowskim KW PZPR.

A koleżdy z mojej klasy? Wtędy się przyczniło, ale o ich losach wiem niewiele i dawne kontakty zostały zerwane. Jędrzek Hilger skończył medycynę, Lilek Ulatowski — chemię, Jurek Bielecki, Mirek Izbicki, Lusiek Pyrowicz, Jasio Tabor — inżynierię, Frank Cymborski jest gdzieś proboszczem, Tomek Rozman para się handlem zagranicznym, Bogdan Kostecki stał się wybitnym specjalistą pszczelnic. Rozjechało się bractwo po PRL, ale może ich spotkam na jeździe absolwentów?

Garść moich wspomnień to nie książka telefoniczna. Wielu wychowawców nie wymienię z nazwiska, wielu kolegów — pominałem. O wszystkich jednak myślę tak, jak im się myśli o osobach bliskich, których czas nie potrafi wykreślić z pamięci...

— Jaworski, co było na ostatniej lekcji?
— Panie profeszore, po osiemnastu latach?...

MOŻNA bez przesady stwierdzić, że Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego w Lublinie narodziło się równo pół wieku temu w liczącym dziś o 10 lat więcej Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Kiedy dyrektor i właściciel „Staszica”, G. Chmielewski, nie chciał uruchomić szkoły w roku 1914, ponieważ znajdowała się w wyjątkowo trudnych warunkach, kilku nauczycieli z ks. Kazimierzem Gostyńskim na czele postanowili za wszelką cenę doprowadzić do zorganizowania normalnych zajęć. Cel został osiągnięty, dyrektora zawiadomiono o rozpoczęciu roku szkolnego, zaś kierownikiem Gimnazjum zajął się triumwirat: ks. K. Gostyński (sprawy ogólne), P. Brun (sprawy wychowawcze) i C. Rummel (finanse). Do półroczia wszystkie ustąpić miejsca coraz częściej występującym nieporozumieniom we współpracy G. Chmielewskiego z zarządem a nawet całą Radą Pedagogiczną Gimnazjum.

O wydarzeniach z tego okresu jeden z nauczycieli, mec. Julian Borkowski napisał we wspomnieniach m. in. te słowa:

„Większość nauczycieli gimnazjum nie chciała powrócić do tych stosunków szkolnych, jakie panowały w tym gimnazjum za autokratycznego dyrektora Chmielewskiego, działającego przy pomocy zastępcy swego dyrektora. W tej sytuacji powstała myśl założenia nowego gimnazjum na zasadach współpracy koleżeńkiej, według zasad praktykowanych przez cały rok szkolny w Gimnazjum im. Staszica; prawie wszyscy nauczyciele zgodzili się pracować w nowym gimnazjum”.

Szczęśliwy przypadek zrzucił, że do organizatorów zgłosił się nauczyciel rysunków i kaligrafii w prywatnej szkole handlowej rosyjskiej Chwiedkiewicza w Lublinie — S. Dylewski, który zaproponował wydzierżawienie na bardzo dogodnych warunkach gmachu po tej szkole, znajdującego się przy ulicy Ogrodowej nr 10. Nowo powstałe „Zrzeszenie Nauczycieli” — w wyniku umowy zawartej na trzy lata — znalazło się w posiadaniu budynku wraz z urzą-

dzeniami i pomocami szkolnymi. W ten sposób we wrześniu 1915 roku rozpoczęło swój autonomiczny żywot Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego.

Szkola rozwijała się bardzo szybko. Już po dwóch latach, tj. w roku 1917, odbyła się pierwsza uroczysta matura. W tym samym czasie „Zrzeszenie Nauczycieli”, na którego czele stał ksiądz Gostyński, nabyło w Wiedniu gabinety: fizyczny i chemiczny, jak też wiele pomocy naukowych, zwłaszcza do nauczania geografii i historii. W fabryce mebli w Zwierzycu wykonano dla szkoły całkowite wyposażenie: ławki, katedry, stoły, szafy, tablice itd. W roku 1917 w zupełności nieprawdopodobnych warunkach Gimnazjum nabyło gmach na własność. Szkoła cieszyła się już w tym czasie dużym autorytetem i chociaż nie miała własnych pieniędzy — uzyskała poparcie sześciu banków, które sfinansowały kupno.

W roku 1922 „Zrzeszenie Nauczycieli” zostało formalnie rozwiązane, zaś gmach z pełnym wyposażeniem przekazano państwu. Gimnazjum, które powstało w warunkach totalnej bezprecedensowej pomocy państwa, zostało upaństwowione. Od tego czasu statutowo jest dalszy systematyczny rozwój szkoły. Dobudowano trzecie piętro, wzniesiono salę gimnastyczną i burse, zbudowano boisko. Z roku na rok zwiększała się też liczba uczniów, powstawały liczne organizacje młodzieżowe. Własna orkiestra i mufonczona, zespół teatralny, silne zespoły sportowe, zdobywające z reguły czołowe lokaty w zawodach okręgowych, własne czasopismo pt. „W słońce”, stojące na wysokim poziomie — a przede wszystkim — poziom nauczania — to wszystko zapewniło szkole autorytet i miało uczelni, do której uczęszczanie uważano za zaszczyt.

Jest rzeczą niezwykłą wymowną, że założył i pierwszy dyrektor Gimnazjum, ks. Kazimierz Gostyński, został przez władze sanacyjne w roku 1933 pozbawiony stanowiska i zrzucony materialnie. Wówczas kurator, S. Lewicki, odmówił mu pokrycia kosztów założenia burzy, chociaż jego poprzednik wydał oficjalne polecenie w tej sprawie. Następca ks. Gostyńskiego został Alojzy Szubartowski, który pełnił te funkcje do wybuchu wojny. Ks. Gostyński natomiast zginął w roku 1942 jako więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Dachau.

Okres okupacji — to bodaj najpiękniejsza karta w dziejach Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego. Już w

roku 1940 grono nauczycieli z Alojzym Paciorkiem na czele rozpoczęło pracę nad zorganizowaniem ośrodka tajnego nauczania. Jesienią tego roku odbyły się pierwsze egzaminy eksternistyczne. O rozmiarach tej pracy najlepiej mówią liczby. W roku 1940 działało 8 kompletów tajnego nauczania, w roku 1941 liczba ich wzrosła do 26, w roku 1942 — do 37, w 1943 — do 55, zaś w roku 1944 do lipca działało jeszcze 54 komplety. Ogółem cztery klasy gimnazjalne i dwie licealne ukończyły 528 uczniów.

Praca w tajnym nauczaniu nie była łatwa i prosta, jednakże zarówno wykładowcy, jak i uczniowie traktowali ją jako jedną z form sabotażu. Mimo braku pomocy naukowych i nieludzkich warunków niejednokrotnie osiągnęto znacznie lepsze wyniki w nauce niż przed wojną.

Ośrodek tajnego nauczania II Państwowego Liceum i Gimnazjum im. J. Zamojskiego w Lublinie obejmował nie tylko mieszkania dołóżniarzy i otwarcą Eugeniusza Santeckiego, Piotra Małca, Stanisława Jędrzejewskiego, Eugeniusza Golebińskiego, Franciszka Wrońskiego, Jerzego Łopatyskiego i innych.

Rok 1944 zastał szkołę znów w trudnych warunkach. Mianowany w sierpniu pierwszym dyrektorem gimnazjum Alojzy Paciorek tylko dzięki pomocy ówczesnego wojewody lubelskiego, Kazimierza Sidora, odzyskał budynek szkolny, który zajmowało wojsko, milicja i sąd. Pod koniec sierpnia odbyły się pierwsze egzaminy wstępne dla uczniów, jak też również pierwsze w Polsce Ludowej egzaminy dojrzałości dla eksternistów. Szkoła udośćniła mocno zniszczonego wskutek działań wojennych budynek pierwszej wyższej uczelni polskiej — Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, który zainaugurował swoją działalność cyklem wykładów powszechnych. Niejak spłacając

dług wdzięczności zaciągnięty przed lety — udośćniłono też sale Gimnazjum im. St. Staszica a nawet innym szkołom.

Do roku 1915 szkoła określała, zwiększając stale swój stan posłania. Lata 1944—1945 przyniosły dalsze zdobycze za dyrekcji Henryka Brydaka. Szkoła została zamieniona na Gimnazjum TPD, zaś nauczanie i wychowanie zaczęło osiągać prawdziwe sukcesy. Rozpoczęła się seria występów wychowanków szkoły w ogólnopolskich olimpiadach fizycznych i matematycznych, w których do tej pory uczniowie Gimnazjum zdobyli kilkanaście nagród i dyplomów, głównie dzięki wysiłkom wykładowców: Piotra Małca, Augustyna Rakowskiego i Włodzisława Kozyskiego. Warto też wspomnieć, że w przeprowadzonych badaniach poziomu nauczania matematyki w klasach X Gimnazjum zajęło pierwsze miejsce w Polsce.

Ostatni okres, tj. lata 1955—1968, przyniósł stosunkowo największe osiągnięcia. Szkoła kierowana przez dyr. Michała Ziolkowskiego otrzymała nowy budynek, co pozwoliło na zbudowanie klas i nie notowany wzrost liczby uczniów (do blisko 700). Zorganizowana też warsztaty szkolne, co z kolei zapewniło możliwość wprowadzenia politechnizacji. Gimnazjum przystąpiło też do eksperymentu oświatowego. Zdobycze naukowe idą w parze z osiągnięciami w zakresie działalności kulturalnej i wychowawczej. Słowa uznania należą się zespołowi dramatycznemu, który pod kierunkiem Eugeniusza Golebińskiego dał już 90 spektakli. Swego rodzaju rekordzistami są sportowcy Gimnazjum, zdobywający od lat czołowe lokaty w Polsce w siatkówce, koszykówce i piłce ręcznej. Owocem pracy ich trenerów: Aleksandra Strzycharzewskiego i Stefana Zawadzkiego są liczne tytuły mistrzów i wicemistrzów polski oraz puchary, dyplomy i nagrody.

Trudno wliczyć wszystkie osiągnięcia szkoły za okres, który liczy przecież pół wieku. Jedno nie ulega wątpliwości: Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamojskiego przystępuje dzisiaj do swego pięknego jubileuszu z uczuciem satysfakcji i dumy.

W jednym z następných numerów: Tajne nauczanie podczas okupacji hitlerowskiej.

MAJDANEK

zawsze będziemy pamiętać

ROMAN ROSIAK

Żaden Remarque...

M IJA 20 lat od chwili, gdy po raz pierwszy zorganizowane zostały „Dni Majdanka”. Również XX-lecie swego istnienia obchodzić będzie w grudniu br. Towarzystwo Opieki nad Majdankiem, które początkowo działało tylko w Lublinie, a potem poprzez organizowane w roku 1948 koła w Krakowie, Warszawie i Łodzi rozszerzyło swoją działalność na cały kraj. Dzisiaj Towarzystwo Opieki nad Majdankiem, jako organizacja ogólnopolska, skupia w swych szeregach tyśiące więźniów oraz ludzi interesujących się problematyką obozową. Pozwała to na coraz to wszechstronniejszą działalność: niesienie pomocy byłym ofiarom lubelskiego obozu zagłady, zbieranie materiałów o Majdanku, popularyzowanie wiedzy o nim, rozszerzanie prac mających na celu wzrost liczebny kół i członków Towarzystwa, inicjowanie badań nad historią obozu oraz prowadzenie pracy wydawniczej. Ożywiona działalność Państwowego Muzeum na Majdanku (powołanego w listopadzie 1944 roku), rozwój Towarzystwa Opieki nad Majdankiem, jak również organizowane we wrześniu każdego roku „Dni Majdanka” — to wszystko przyczyniło się do systematycznego wzrostu zainteresowania obo-

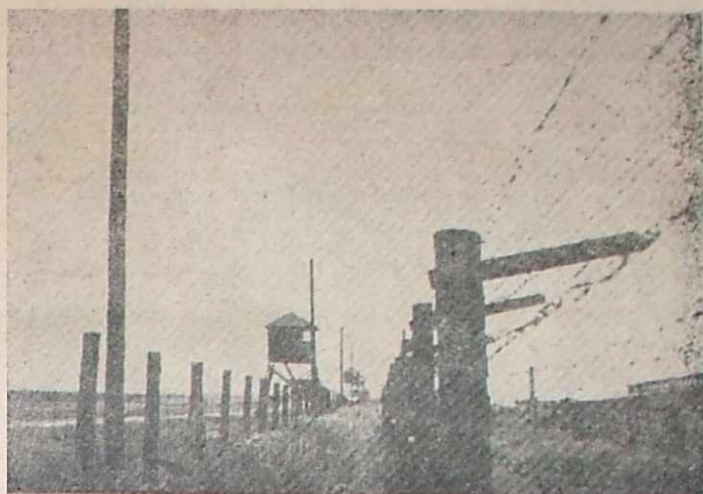
złem zarówno wśród całego społeczeństwa, jak też w sferach naukowych. Właśnie te względy zadecydowały o powołaniu przez Towarzystwo w roku 1961 ogólnopolskiej Rady Naukowej Wydawnictwo o Majdanku.

Nie minęło jeszcze pięć lat a efekty wspólnych wysiłków Towarzystwa, Muzeum oraz Wydawnictwa Lubelskiego są naprawdę imponujące. W tym krótkim okresie ukazało się szereg wartościowych pozycji, m. in. album „MajdANEK” — opracowany w pięciojęzycznej wersji, pierwszy z prawdziwego zdarzenia przewodnik „MajdANEK — obóz koncentracyjny” E. Grynia i Z. Murawskiej, nie licząc, oczywiście, folderów. Najliczniej reprezentowana jest literatura pamiętnikarska. Na półkach księgarskich znalazły już miejsce pamiętniki: T. Garczyńskiego „Więzień nr 3873”, M. Gryty „Byłem numerem”, T. Czajki „Czerwone punkty” i F. Siejwy „Więzień III pola” oraz reportaże J. Putramenta „Fabryka śmierci” i zbiór grypsów z obozu pt. „Listy z Majdanka”.

Niewątpliwie najpoważniejszym wydarzeniem w zakresie wydawnictwo lubelskim obozie zagłady będzie I tom „Zeszytów Majdanka”, które mają się ukazać jeszcze w bieżącym miesiącu. Dotychczas wydawnictwo tego typu posiadało jedynie Muzeum w Oświęcimiu.

Przytoczone fakty świadczą bardzo wymownie o tym, że wspólnym wysiłkiem potrafimy MajdANEK „ocelić od zapomnienia”, jako symbol martyrologii i bohaterstwa narodu polskiego i jako ostrzeżenie przed groźbą odradzającego się w NRF faszyzmu. Taki jest właśnie sens obchodzonych również i w roku bieżącym „Dni Majdanka”. Im głębsza będzie nasza wiedza o obozie, im liczniejsze i lepsze będą książki o Majdanku, tym, być może, mniej trafny okaże się sąd więźniów ze wspomnień T. Garczyńskiego pt. „Więzień nr 3873”, który boi się o to, by czas nie zamazał rzeczywistych rozmiarów zbrodni i by mogły w nią uwierzyć również i przyszłe pokolenia: „Obok mnie stał kapo Kauer, zielony kapo.

— Patrz — szeptał mi w ucho po niemiecku — to są ludzie. Czy ktoś na świecie może sobie wyobrazić takie piekło? Dwudziesty wiek! Kultura europejska! Żaden Goya nie zdoła tego uwiecznić, żaden Remarque opowiedzieć. Nam kiedyś nie uwierzq”.



Fot. A. Polakowski

JÓZEF MARSZAŁEK

Już nie zdążyli

„Pełnomocnik Reichsführera SS (dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim SS-Brigadeführer O. Globocnik) zorganizuje obóz koncentracyjny dla 25 000—50 000 więźniów w celu zatrudnienia ich w warsztatach i budowlach SS z policji. Z tego obozu koncentracyjnego zostaną utworzone obozy dodatkowe zależnie od położenia obozu głównego”.

Tak brzmiał oficjalny rozkaz Reichsführera SS, H. Himmlera, z dnia 21 lipca 1941 r. o utworzeniu w Lublinie obozu koncentracyjnego zwanego popularnie Majdankiem.

Obok celów politycznych powstania obozu istniały przyczyny natury gospodarczej, o których wyraźnie mówi Himmler w cytowanym rozkazie. Wiązały się one z zaleceniami Reichsführera SS również z dnia 21 lipca 1941 dotyczącymi stworzenia w Lublinie bazy wojskowo-materiałowo-zaopatrzeniowej dla formacji SS będących w akcji na okupowanych terenach ZSRR. W skład bazy miały wejść duże zakłady niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, zakłady odzieżowe oraz osiedle SS. Obiekty te zlokalizowano na dawnym lotnisku Lubelskiej Wytwórni Samolotów i dzielnicy Majdan Tatarski. Natomiast obóz, jako zasadniczą część bazy, usytuowany w odległości niespełna 500 m w kierunku wschodnim od zakładów i osiedla, miał być rezerwuarem niewolniczej

siły roboczej najpierw do budowy wymienionych obiektów, później do produkcji w zakładach”.

Budowę zlecono Centralnemu Zarządowi Budowlanemu SS i Policji w Lublinie. Przedsiębiorstwo to spełniało rolę inwestora i biura projektów. Wykonawstwa poszczególnych prac budowlanych zlecała różnym firmom prywatnym niemieckim i polskim prosperującym na terenie GG. Oddział zajmujący się opracowywaniem planów przygotowywał dokumentację techniczną poszczególnych obiektów i urządzeń. Biuro to opracowało już z początkiem października 1941 r. pierwszy projekt budowy obozu¹⁾ Zakładał on na obszarze 63 ha budowę 10 tzw. pól więziennych otoczonych podwójną linią drutu kolczastego. Każde z 10 pól, oprócz baraków mieszkalnych dla więźniów, miało po dwie kuchnie i jedną ubikację. Łącznie w obozie zaprojektowano 237 baraków, z czego 207 wypadają na mieszkalne baraki więźniarskie.

Wrześniowe i październikowe sukcesy hitlerowskich armii na froncie wschodnim, jak się wydaje, wpłynęły w poważnym stopniu na decyzje naczelnych władz SS dotyczącą poszerzenia ich bazy frontowej w Lublinie. Dokładniej sprzecywany i rozszerzony plan działania w tym względzie otrzymał w listopadzie 1941 r. nazwę „Programm Heinrich”²⁾. Obok wymienionych już zakładów i osiedla SS program przewidywał na dawnym lotnisku budowę magazynu zaopatrzeniowego dla Rosji Południowej, bliżej nieokreślonego V lagru, wojskowego magazynu gospodarczego i innych. W „Programie Heinrich” uległy również poszerzeniu rozmiary i zadania obozu. Sprzecywał je szef II Urzędu w Głównym Urzędzie Gospodarczo-Budowlanym SS, dr inż. Kammler, w piśmie skierowanym w dniu 8 grudnia 1941 r. do Centralnego Zarządu Budowlanego w Lublinie. Pisze on: „poleca się niniejszym rozszerzenie rozkazu budowy na założenie obozu jeńniczego w Lublinie, który mógłby pomieścić 150 000 jeńców bądź więźniów. W obozie tym należy przewidzieć budowę niezbędnych zakładów gospodarczych i warsztatów, jak: wielka pralnia, odzieżownia, krematorium oraz wielkich zakładów pracy (Grosswerkstätten”³⁾). Himmler zaś w piśmie do Ministerstwa Komunikacji Rzeszy z dnia 14 kwietnia 1942 r. wyjaśniał: „Na moje polecenie w porozumieniu z szefem wojsk lądowych (gen. Brauchitschem) zostanie zbudowany obóz jeńców wojennych w Lublinie, którego pojemność w roku 1941 ustalona została do 150 000 osób... Obóz jeńców wojennych ma służyć jedno-

(Dokończenie na str. 9)

Z konspiracyjnej twórczości obozowej

ZOFIA KARPIŃSKA

Na swoją nutę

Stoł nocka, sen ucieka,
pachną bzy...

Gdzieś za siódmą, siódmą rzeką
żyjesz ty.

Czas przelina, nad łakami
nocka trawa.

Za drutami, za kratami
żyję ja.

A ode mnie, aż do ciebie
długi szlak,

Nie przeleci, nie przefrunie
żaden ptak.

A ode mnie, aż do ciebie
bliisko tak.

Ze jak młotem tętnią skronie
i tehu brak.

Ponad lasem, hen, daleko
płyną mgły.
Chcę za siódmą, siódmą rzeką —
żyjesz ty.
Dam ci smutne serce moje,
ciężkie sny.
Dam ci wszystkie niepokoje,
ból i lzy...

MajdANEK 1943 r.

POLA BRAUN

Matka

„Mere”, „Mother”, „Mutter” —
po polsku znaczy „Mama” —
we wszystkich językach świata
[Miera „M” ta sama...
Gdybyście wszystkie matki
zebrały się razem,
nie byłoby tyłu zbrodni, nie truto by nas
Igazem...]

Nie zna pani żydowskiego?
Nie wie pani, co to znaczy
Gdy ktoś tym językiem żał się?
Pyta pani wciąż, dlaczego?
Jak ja mam to wytłumaczyć?
Albo mnie rozumiesz, albo nie!
Czy ja mam pani oddać serce swe?
No takie rzeczy — tylko sercem
[czuje się.
No „Heimkehrer” — znaczy — do domu.
„Zerück” — znaczy — z powrotem.
Płaczesz gdzieś po kryjomu
a serce bije jak młotem...]

[Autorka tego wiersza zginęła na Majdanku 3.XI.1943 r.]

In memoriam

Już ponad 10 ksiąg zapisałi uwagami i wrażeniami zwiedzający obóz przedstawiciele kilkudziesięciu narodowości. Są to podpisy ministrów i ambasadorów, delegacji i wycieczek, byłych więźniów i ich rodzin, ludzi, którzy przeżyli czasy pogardy i tych, którzy dowiadują się o nich prawdy dopiero dzięki ekspozycji Muzeum. Obok — rzecz jasna — najliczniejszych podpisów polskich i radzieckich spotkać można autografy Arabów, Chińczyków, Turków, gości z USA i Australii, Kuby i Nigerii, Iranu i Japonii, słowem ludzi ze wszystkich kontynentów. Poniżej reproduujemy kilka autografów.

Truane, strasne.

Julian Przybiś

XIV Zjazd Literatów Polskich

warszawa 1964

Hiarmius Michalek

Leszek Lewin

Antoni

Zemsta

Jan Koprowski

Helena Dębowa

DROGA PRZEZ MĘKĘ

wspomnienia więźniów

Pierwsze chwile

Ustawiają nas przed jakimś barakiem i czekamy; kobiety idą dalej. Widzimy więźniów w szarych ubraniach w niebieskie pasy, w strasznie wynędzniałym stanie, uginających się i ledwo wlecących pod ciężarem jednego siennika. Ktoś z naszej grupy uspokaja, że to prawdopodobnie rekonescencja po tyfusie. Ktoś znów radzi, by zjeść posiadane zapasy żywnościowe, bo wszystko zabierają, ale nikt nie daje temu wiary. Nadchodzi kilku SS-manów i każą nam wejść do pustego baraku. Tam musimy się szybko rozebrać i w rękę trzymać przedmioty wartościowe oraz szelki, bądź pasek od spodni.

Stoimy nadszy i czekamy. Wierzeje baraku stajennego są na wylot otwarte. Dostajemy gęziej skórki. Czekamy może godzinę. Wreszcie zaczynają odczytywać listę transportową i każą wyczytanym przechodzić na drugą stronę baraku. Odczytanie 700 ludzi trwa. Wywołani rozstajemy się z naszymi ubraniami i zapasami żywności, które nie zostały ani nazwiskiem ani numerem oznaczone. W nowej grupie czekamy znów. Ustawiają stolik, przy którym się rejestrujemy, dostajemy numery Hoczone na blasze z pociętych puszek konserwowych. Dostają Nr 8830.

Dypoczę na całym ciele, a mięśnie moje kurczą się, rozprężają i drgają. Wreszcie każą nam przechodzić grupami po 100 osób do łaźni. Biegniemy nadszy i boso po zamrażniętej ziemi do sąsiedniego budynku, oddalonego około 100 metrów. W zimnej szatni siedzi kilku fruzjerów więźniów, Żydów słowackich, którzy strzygą włosy na głowie.

1

wąsy, pod pachami i na całym ciele. Podczas tego zabiegu pytamy o warunki bytu na Majdanku. Wszyscy odpowiadają, że jedynym wyjściem z Majdanka prowadzi przez komiń.

Apel

...Stajemy przed blokiem 5-tym. ...Jest ciemna noc. Wchodzimy na blok szerokimi, skrzyżowanymi, dwuskrzydłowymi wrotami, przez które można piątkami wchodzić. Na wrotach widzę emaliowaną tablicę z napisem niemieckim, iż konie chorych na świerzb nie należy wprowadzać, a do stajen, gdzie konie już chorowały na świerzb, wolno dalsze transporty końskie wprowadzać jedynie za zezwoleniem weterynarza wojskowego. Rozglądam się po tej stajni, która ma być naszym mieszkaniem.

...O godzinie 3 min. 15 budzi nas blokowy... Jest cholernie zimno, od przedwczoraj nie mieliśmy w ustach, a te wiatrem podziżyte lachmany, nie dopinające się na brzuchu ani też na szyi, nie chronią przed stałym przewiewem, który panuje na placu apelowym. O 4 min. 30 wyprowadza nas blokowy przy pełnym księżycowym świetle i porządnym mrozem na plac apelowy i ustawia w 5 rzędach.

O godzinie 5 przychodzą SS-mani Blockführerzy i każdy z nich odbiera apel swojego bloku, wpisując stan do księgi bloku, którą zabiera ze sobą. Przy zbliżaniu się SS-mana komendującego blokowy: „Stillgestanden! Müthen ab! Augen links!” (baczność, czapki zdjąć, w lewo wzrok) i sam z odkrytą głową podbiega do Blockführera, melduje mu stan bloku.

Regulamin obozowy

...Stoimy więc, marzniemy i znów czekamy. Po jakimś czasie przychodzi do nas taki kapo i ma do nas przemówienie po niemiecku. Jest to Lagerältester, Rockinger, najstarszy więzień III pola. Młody.

2

około 30-letni mężczyzna, o dość eleganckim wyglądzie. Blokowy tłumaczy to przemówienie na język polski — ale bardzo niestarannie i potocznie opuszcza. Niemniej przeto dowiadujemy się, że przed każdym SS-manem i Kapem mamy czapki zdejmować i na zawołanie biegnąć do nich zbliżyć. Nie wolno w czasie pracy słaść ani też nieruchomo stać. Należy się zawsze szybko poruszać. Do latryny nie wolno chodzić w czasie pracy. Kojnierzy od marynarek nie wolno podnosić ani też marynarek wpuszczać do spodni (dla izolowania powietrza). Nie wolno mieć na sobie po dwie koszule lub kalesony. Świeżość nie wolno nosić. Nie wolno mieć przy sobie ołówka, chustki do nosa, szczyraka, tytoniu, papieru, nie wolno na blok wchodzić w ciągu dnia, rozmawiać z cywilnymi robotnikami, przychodzącymi do obozu na roboty. Rozrywanie koców, by się nimi opasać, jest sabotażem i będzie karane śmiercią. Trzymanie rąk w kieszeniach jest ciężkim przestępstwem. Krótka mówiąc, wszystko jest zabronione — z wyjątkiem umierania.

Praca

...Rzucają mi się jako nowicjuszowi przede wszystkim w oczy „Wagenkolonnen”. Są to stare, niemieckie wojskowe furgony z ciężkimi kołami, sięgającymi do wysokości piersi, z kołem umieszczonym 2 m nad jezdnią, furgony ciągnięte przez 4 ciężkie konie artyleryjskie. Otóż te wozy są obecnie bez koni, a ciągnięte są przez więźniów. Są porobione „szleje” z drutu, wrzynającego się głęboko w piersi i ramiona, a poza tym po bokach wozu są umocowane też druty (po 4 na każdym boku) z wplecionym kawałkiem drzewa dla uchwytności. 20 ludzi ustawia się w następujący sposób: 2 prowadzi dyszel, 4 ciągnie z przodu, za orczyki, 8 z boku, a 6 popycha z tyłu. Wiozą przeważnie kartofle do kuchni. Wóz taki pomieści najmniej 2 tony. Jest kilka takich wozów i jeżdżą one przez cały dzień na teren gospodarstwa warzywnego, gdzie są kopce z kartoflami i wyladowują je koło kuchni.

3

W ogrodach warzywnych nie ma żadnych dróg bitych, jest lekko piaszczysta ziemia, drogi rozjechane ciężkimi wozami, pełne wody, błota i wybojów. Najgorsze miejsce jest przed bramą obozową, gdzie są ogromne kałuże z błotem i ogromne doły. Gdy pełny wóz ugrzęźnie, zaczynają się nawoływania Kapa i SS-manów a potem obaj zaczynają bić po wyprężonych plecach. Jest to widowisko, które się co parę minut powtarza. Robi to na mnie głębokie wrażenie, przypominają się niewolnicy egipscy, którzy pod batami faraonów strażników wozili po piachach glazy do budowy piramid. Tak wygląda „Mythos des XX Jahrhunderts” w praktyce!

Inne kolumny z zaprzęgami ludzkimi rozwożą chleb, inne czerpią wiadrami ześlizgującymi się wciąż z kija ekskrementy z dołów kloacznych latryny i wywożą je na komposty położone na terenie ogrodu. Inni wywożą śmiecie też na kompost. Wszędzie łwiszczą baty w powietrzu, gdy się wóz w drodze zatnie. Najmakabryczniejsze są jednak wozy, które codziennie rano zajeżdżają przed izbę chorych. Wynoszą trupy zupełnie nagie i wrzucają na wóz — tak jak rzeźnicy rzucają polcie wołowiny. Ciała są tak wychudnięte i wynędzniałe, że została tylko skóra i kości, ale w dostojnym znaczeniu. Stercząca klatka piersiowa — a u wszystkich jamy brzuszne zupełnie pozapadane. Prawie że się zarysowuje przez brzuch kręgosłup. Nogi i ręce to tylko pizczetele obciągnięte skórą, żadnych nie ma pośladek, widać dokładnie miednicę. W tuwary sterczącej nos i kości policzkowe, reszta pozapadana. Ręce i nogi czarne z brudu, ciała oblepione kałem. Trupy przeważnie już zupełnie sztywne, z sinyimi plamami z odleżyn. Feldführer, który z okna swojej kancelarii tuż obok położonej przygląda się temu „pogrzebowi”, otwiera okno i ryczy, dlaczego ładowanie trupów tak wolno się odbywa. Więźniowie biorą trupy za ręce i nogi i z rozmachem wrzucają je na wysoki wóz, jedno ciało na drugie. Tworzy się kłębówisko rąk i nóg sterzących we wszystkie strony. Co za makabra! Ecce homo!

(Fragmenty nie publikowanych wspomnień JERZEGO KWIATKOWSKIEGO — ze zbiorów PMM).

4

Dzieci na Majdanku

...Drugiego dnia po obiedzie, kiedy komanda robocze wlokły się do pracy, zostaliśmy zatrzymani przed bramą wejściową. Ponieważ każdego dnia otwierano ją bez utrudnień, byliśmy bardzo zaniepokojeni. Stoimy więc przed bramą już dłuższą chwilę, coraz bardziej zniecierpliwieni. Naraz z piątego pola nadjechał ciężarowy wóz z przyczepą, wypełniony dziewczętami w wieku od 10 do 15 lat. Wiedzieliśmy, co to oznacza. Dzieci te wieziono do komory gazowej. Jęki i płacz dziecięcy wypełniał obóz taką rozpaczą, że wielu z nas, którzy widzieliśmy już nie jedną gehennę ludzką — nie mogło tego znieść. Dusiliśmy się swą bezsilnością, przeklinałymi niemoc naszych rąk. Patrzyłem bez oddechu, jak samochód śmierci stanął przed barakiem łaźni. Esemani zeskoczyli na ziemię. W czasie opróżniania przyczepy spychano i katowano dzieci, niektóre z nich rzucono wprost o ziemię, jak drewniane kłody.

Samochód zawrócił po nową partię ofiar. Kiedy ponownie przejeżdżał obok nas, jakaś dziewczynka, rozpoczynając wśród zastygłej kolumny więźniów swego ojca, krzyknęła:

— Tatusiu, ratuj mnie!
Ojciec zemdlał.

Scenę to obserwował esesman Miller. Wolnym krokiem, z zapalonym papierosem w zwierzęco wyniętych wargach, podszedł do leżącego i kopnął go kilka razy. Następnie, jak gdyby nigdy nic, odszedł znów tym samym wolnym, następującym krokiem. Na drugi dzień rano ciało wzięcia odwieziono do krematorium.

5

W kilka dni potem nadszedł transport Polaków wysiedlonych z powiatu zamojskiego, biłgorajskiego i tomaszowskiego. Wprowadzono ich na odgrodzony od reszty pola plac, położony za łaźnią. Obserwowaliśmy dokładnie jak esesmani naprzód wprowadzili do łaźni mężczyzn. Mężczyźni po jakimś czasie wrócili. Potem kobiety, które także stamtąd wyszły. Na końcu około 200 dzieci, które już nie wróciły. Dzieci te zostały uduszone w komorze gazowej...

MARCIN GRZYTA: „Byłem numerem”, Lublin 1962.

Jak chowano więźniów?

Ten dół śmierci był około 10 m szeroki, około 20 m długi i 6 metrów głęboki. Wymiarów dokładnych nie podaje, gdyż przypominam sobie, jak szacowaliśmy go na oko. Z jednego końca tego dołu układano warstwami trupy, posypywano je chlorkiem i cienką warstwą ziemi i na to znów układano warstwami nowe, aż do wierzchu. Z drugiej strony zaś więźniowie ten grób pobierali dalej.

Widok tego grobu był straszny. Ziemia na brzegach stale była krwią zlaną, a w dole od strony pomordowanych zwisały ręce i nogi. Raz, kiedy żeśmy poszli do kopania tego dołu (było to zaraz po fukacji egzekucji rannej, ponieważ ciała pomordowanych na dolnej warstwie było widać, tylko były zasypane wapnem i lekko ziemią) zauważyliśmy nawet, jak jednego ręką się ruszała. Do tej strony nie wolno było się zbliżać, bo kto tam podszedł — został zabity.

(Fragment nie publikowanej relacji JOZEFMA MADEJA — ze zbiorów PMM).

6

Już nie zdążyli

(Dokończenie ze str. 7)

częnie jako obóz koncentracyjny i posiadać ważne tymczasowe urzędnictwo, w których będą sporządzane na rozkaz Führera niezbędne przedmioty obronowe dla formacji SS i policji na terenach wschodnich, między innymi w celu odciążenia przemysłu w starej Rzeszy⁹⁹).

W oparciu o wytyczne Kammlera biuro projektów Centralnego Zarządu Budowlanego opracowało generalny plan obozu. Plan ten został 23 marca 1942 r. zatwierdzony przez ówczesnego komendanta obozu SS — Standortführera Karla Kocha¹⁰⁰. Plan zakłada budowę w obozie dwóch części: 1. zasadniczej więziarskiej, 2. esesmańskiej.

Na część właściwą więziarską obozu składać się miały trzy ogromne kompleksy baraków; pierwszy stanowił obóz jeńców wojennych („Kriegsgefangenenlager”), drugi, część przeznaczoną pod jego rozbudowę określano na planie jako „Erweiterung” i wreszcie zakłady odzieżowe SS („Bekleidungswerk der Waffen SS”), jako obiekt trzeci, najmniejszy w tej partii obozu.

Plan obozu jeńców wojennych nawleże ściśle do projektu z października 1941 r. Przewiduje on jednak już nie 10 a 16 pól więziarskich, ułożonych w czterech rzędach. Rzędy: pierwszy i czwarty zawierają po 5 pól, zaś drugi i trzeci — po trzy, w tym po jednym mniejszym. Układ baraków na poszczególnych polach był w zasadzie jednaki. Pola większe liczą po 24 baraki w tym 22 mieszkalne, 1 kuchnia („Küchen”) i 1 ubikacja wraz z umywalką („Wasch und Abortbaracke”). Natomiast mniejsze posiadają po 14 baraków mieszkalnych i dwa usługowe, jak w wypadku pól większych. Środek obozu jeńckiego zajmują: duże zakłady pracy (Werkstätten), magazyny żywnościowe („Lebensmittel”), bliżej nieokreślone komory („Kammern”), więzienie („Zellenbau”), szpital, wielka pralka („Grosswascherei”) i odzieżalnia („Entlausung”). Całość obiektu o obszarze 129 ha otaczał murek podwójny z 40 wież strażniczych w odległości 100 m jedna od drugiej. Na terenie tylko omawianej części obozu planowano budowę 326 baraków mieszkalnych, w których (przy pojemności 250 osób na jeden barak) mogło przebywać ponad 85 tys. więźniów.

„Erweiterung” to ogromny zespół obiektów obozowych, w sąsiedztwie obozu jeńckiego od strony wschodniej, ułożonych symetrycznie po obydwu stronach dużego placu w kształcie trapezu. W tej części obozu zwracają uwagę trzy kompleksy zabudowań większego i mniejszego typu, nie określone bliżej na planie. Z układu budynków można sądzić, że kompleksy pierwszy i trzeci to baraki gospodarcze. Natomiast część środkowa usytuowana po obydwu stronach prawdopodobnie placu apelowego stanowiła kilka baraków mieszkalnych.

„Bekleidungswerke der Waffen SS” to trzeci obiekt części więziarskiej obozu.

Omówione trzy obiekty części więziarskiej przy minimalnym zagęszczeniu zgodnie z wytycznymi „Programu

Heinrich” przeznaczone były dla 150 000 więźniów.

Omówione wyżej plany ogólne wraz z szczegółowymi dotyczącymi budowy dróg i sieci wodno-kanalizacyjnej. Centralny Zarząd Budowlany przesłał do swej nadzornej placówki — Inspekcji Budowlanej SS w Krakowie w celu ich ostatecznego zatwierdzenia. W dniu 14 maja 1942 r. plany zostały przejrane przez pełniącego obowiązki szefa Inspekcji SS — Obersturmführera Juhnkoffa. W protokole opiniowanym sporządzonym tego samego dnia Juhnkoff stwierdza, że prowadzona będzie tylko budowa pól od I do VIII. Natomiast wszystkie inne prace zostają wstrzymane¹⁰¹. Decyzja o ograniczeniu realizacji generalnego planu tylko do ośmiu pól a więc 12 części obozu jeńckiego, nie zależała od Inspekcji Budowlanej w Krakowie. Decydowali o tym inicjatorzy budowy kombinatu obozowego, głównie Himmler. Komplikuja się od wiosny sytuacja na froncie wschodnim, stwarzała władzom SS coraz większe trudności w zakresie materiałów budowlanych, a przede wszystkim transportu zajętego przez wojsko. W związku z tym Himmler zalecił Głównemu Urzędowi Gospodarczo-Budowlanemu SS ograniczenie realizacji generalnego planu Majdanka tylko do 59 000 osób do czasu wyjaśnienia sytuacji na froncie wschodnim, a ten z kolei przekazał to Inspekcji Budowlanej SS w Krakowie.

Mimo tego zahamowania generalny plan stanowił podstawę budowy obozu w latach 1942—1944. W oparciu o jego wytyczne biuro projektów Centralnego Zarządu Budowlanego w lipcu i sierpniu 1942 r. przystąpiło do opracowania założen szczegółowych ośmiu pól więziarskich, tj. połowy obozu jeńców wojennych. Wspomniane projekty dotyczą budowy baraków, dróg, sieci elektrycznej, wodno-kanalizacyjnej, komór gazowych i krematoriów. Na ich podstawie wybudowano w Majdanku: sześć pól więziarskich, baraki komendatury i koszar SS, skład materiałów budowlanych, baraki zrobotowanego mienia więziarskiego, warsztaty oraz dwa krematoria i siedem komór gazowych. Technologia zniszczenia przewidywała zgodnie z decyzją Inspekcji Budowlanej z maja 1942 r. ukończenie w najbliższej przyszłości pól siódmego i ósmego. Realizację tych planów przerwała zwycięska ofensywa radziecka latem 1944 r.

Józef Marszałek

PRZYPISY:

1. Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich (AGKBZH) IV Proces Norymberski O. Bohla. T. II, s. 148.
2. Por. przyp. 1.
3. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie (WAPL) Zentralbauleitung der Waffen SS und Polizei Lublin, sygn. 58.
4. AGKBZH Reichsverkehrsministerium u. Generaldirektion. PS — 22.
5. WAPL Zentralbauleitung... sygn. 120, k. 11.
6. Por. przyp. 5.
7. WAPL Zentralbauleitung... sygn. 45.
8. WAPL Zentralbauleitung... sygn. 101, s. 53.

STEFAN WOLSKI

Elegia

To tu, gdzie cierpienie miało kształt człowieka, tu, skąd odeszła nadzieja, jak się odchodzi

w śmierć gdzie umarło wspomnienie stołu, łóżka, domu, domu, którego próg gdzieś czekał, tu zamieniano człowieka w coś mniej wartościowego niż śmieć.

I człowiek zapomniał, że na świecie jest mydło, białizna, że nad najmilszą księżką lampa wieczorem świeci; tu w zwykłej nawet rzeczy rozpaczał była i głód.

I tu w najdroższych twarze napięty łuk z łez mroku. A wiedzieli — dzień przyjdzie, co twarzy tych błysk, ostatni nawet cień z pamięci wypchnie, zrzuci pod jakiś próg...

Jeszcze z rzadka w ciemności nocy i dni rysy drogie gdzieś trwały. z dala, z dala; latarnie okrętu, do których nie dotrzeć samotnym, w odmet rzuconym, gdy grzmi. A to nie odczłapał wód, nie o skały bijąca fala, lecz żywił straszliwszy niż wodny: żywił zbrodni...

To tu ludzie wycychali... Biedne lodzgi ciał z ziemi żyła wyrwane. Jak chwast zwalone na stos, by nawóz z nich wyznał. Kiedys miłość oni znali, ramiona serace, czułość serca i warg.

ludzki, zwyczajny śmiech, zwyczajne radości ludzkie i smutek zwyczajnych skarg. Gdy był mały, jak każdy z nas: tata, mama... wolali, a potem: — Kochany, Kochana...

Gdzie to było, kiedy było to, na jakiej planecie?... Ooooo!

Nie jeden studiował Świętych Kościola Listy, albo Talmud, albo inne doktryny ludzkości; księgi różne... Nie jeden kultury drogi szedł po szczyt; Szekspira, Mollera znał, Platona, Mozaria i Bacha. Kiedyś sam może grał, śpiewał może, żył, kwitł...

A oto ciągle ich krzyk sumienie światła draży, ludzki jeszcze oskarżający krzyk: „O, Boże, Boże!”

To tu, na Majdanku lubelskim jak w Oświęcimiu podobnie, jak wszędzie, gdzie zbrodni napis straszliwy świecił: „mit uns Gott”, świat boży, świat anielski z Adamem i Ewą, z wiarą w Betlejemskie Dziecię, ile razy został zabity: przekleństw ile razy zabił go grof?... To tu i wszędzie, gdzie cierpienie wchodził w kształt człowieka, gdzie próżno do ludzi wyciągnięte ręce... niech nikt nie zwleka, niech nie zwleka

...nigdy więcej!

ZYGMUNT ORLIKIEWICZ

„Już po krótkim okresie pobytu w obozie można było odróżnić trzy zasadnicze grupy ludzi: walczących, biernych i całkowicie przystosowanych, to znaczy zdradźców. O zdradźcach pisać nie warto. Byli to nędzne, tchórzliwe kreatury lub drapieżne, patologiczne raczej typu. Bierni nie wytrzymywali długo. Szybko stawali się tzw. gamlami lub „muzulmanami”, kompletnie załamani tak fizycznie jak i duchowo. Bierność w ciężkich szczególnie warunkach oznacza śmierć. Dlatego też większość wiedziona starym prawem i instynktem przyrody stanęła do walki!”

Tak ocenia sytuację w lubelskim obozie zagłady jeden z jego byłych więźniów — Tadeusz Czajka — autor pamiętnika pt. „Czerwone punkty”. Trzeba przyznać, że opinia ta jest ze wszęch miar słuszna. Na Majdanku, już od pierwszych chwil jego istnienia, można spotkać się z bardzo bogatym wachlarzem środków samoobrony i ruchu oporu. Niestety, literatura ma ten temat jest — jak dotąd — bardzo uboga. Brak nawet najbardziej związłego popularno-naukowego opracowania tego tematu, nie mówiąc już o próbie zarysu monograficznego. W tej sytuacji niemal wyłącznym źródłem informacji stają się wspomnienia i zeznania b. więźniów a także kilka pozycji z zakresu literatury pięknej.

Jeśli chodzi o wspomnienia — należy wymienić tu przede wszystkim „Czerwone punkty” T. Czajki, „Powrót na rzekę” M. Cabana, „Więźnia nr 3873” T. Garczyńskiego, „Na Majdanku” J. Korcza oraz szereg nie publikowanych pamiętników i relacji znajdujących się w zbiorach Państwowego Muzeum na Majdanku — z pamiętnikiem J. Kwiatkowskiego na czele.

Literatura piękna reprezentowana jest jeszcze skromnie. W zasadzie należy tu wymienić cykl opowiadań Z. Mkułskiego „Ucieczki” („Nożyce”, „Kamień”, „Podkop”), drukowany w „Głosie Ziemi Lubelskiej” w roku 1958 oraz „Ucieczkę” Zdzisława Sachnowskiego —

tworzenie koleżeńskiej atmosfery, o udzielanie pomocy najblizszym, o podtrzymywanie na duchu załamanych. Pomoc przejawiała się w różny sposób: mogła to być kromka chleba czy kartofel, mogła to być także wiadomość o postępach wojsk radzieckich na froncie wschodnim, a także patriotyczny wiersz, piosenka obozowa, wreszcie krępująca ma duchu rzeźba A. Bonleckiego (kolumna z orłami, żółw, sala-mandra).

Najbardziej czynną formą oporu były jednak ucieczki, z których wiele zakończyło się tragicznie, niemniej jednak

„Życie Warszawy” z 1947 r. i „Dwóch za stu” Jakuba Kowala — „Wolni Ludzie” z r. 1947.

ucieczki

Lektura wymienionych źródeł upoważnia nas do stwierdzenia, że walka o człowieka toczyła się na Majdanku na wielu płaszczyznach. Nie zaniedbywano nawet najmniejszych okazji, by podsycać wiarę w ocalenie, by przypominać o godności nawet w obliczu śmierci, wreszcie — co najważniejsze — by walczyć, walczyć o siebie i o innych. Do walki o życie ludzi-liczb stanęło zarówno społeczeństwo Lubelszczyzny, docierające za pośrednictwem RGO i PCK z paczkami prowiantowymi, lekarstwami i listami, jak również i sami pasiaży.

W pamięci więźniów z pewnością na zawsze pozostaną nazwiska tych, którzy pomagali im przetrwać: Stanisława Zelenta, Stefania Perzłowski, dra Wieliczńskiego i wielu innych. Początkowo garstka ludzi, później zaś coraz większy zespół ludzi, starała się o wy-

szereg akcji uwolnionych zostało sukcesem.

Początek dali jeńcy radzieccy. Kilku-dziesięcioosobowa grupa w marcu 1942 roku przedarła się w nocy przez druty i zbiegła do lasu.

Największą jednak liczbą ucieczek przypada na lata 1943—1944. Wiosną 1943 r. uciekło trzech więźniów zatrudnionych w warunkach samocho-dowych. W sierpniu 13 jeńców radzieckich, podzielonych na dwie grupy, zatrudnionych przy koszeniu owsa również podjęło próbę przedarcia się przez druty. Udało się to jednak tylko siedmiu.

Od roku 1944 obserwujemy cykl ucieczek zorganizowanych i przemyślanych w szczególności. Rolą organizatora przejął na siebie Związek „Orzeł”, który powstał na Majdanku z inicjatywy Komitetu Obozowego PPR. Organiza-

cja ta liczyła przeszło 300 ludzi z całego obozu. Jednym z jej celów było rozbić obozu przy pomocy sił z zewnątrz, lub — w sytuacji skomplikowanej — podjęcie tego dzieła na własną rękę. Związek „Orzeł” zgromadził w swych szeregach ludzi należących do różnych orientacji politycznych a nawet różnych narodowości. Na czele związku stali: Kazimierz Maliński — dowódca, Paweł Dąbek — zastępca dowódcy do spraw politycznych, organizacyjnych i łączności, Mieczysław Osiański — zastępca dowódcy do spraw bojowych, oraz Wiktor Piątkowski — szef sztabu. Ta właśnie grupa ludzi zdecydowała się na zorganizowanie w początkach marca 1944 r. szeregu grupowych ucieczek.

Pierwsza ucieczka nastąpiła 16.III. 1944 r. i zakończyła się sukcesem. Paweł Dąbek, Kazimierz Maliński i Mieczysław Osiański przecięli druty i zbiegli do partyzantki.

Druga ucieczka, zorganizowana w nocy 23/24.III.1944 r. w obozie przy ulicy Lipowej, przyniosła wolność 11 więźniom, na których czele stał Władysław Król.

Niezwykłe dramatyczny przebieg miała trzecia ucieczka, 28.III. pod kierunkiem Wiktora Piątkowskiego, kanałami ściekowymi przedostało się do wsi Dziesiąta 9 więźniów, którzy powiększyli szeregi partyzantki.

Wszystkim ucieczkom towarzyszyła niezwykła brawura i pomysłowość. Trzech więźniów potrafiło np. uciec w mundurach SS autem komendanta obozu, dwóch innych dzięki temu, że udało im się zadusić SS-mafia, w którego mundurze i z bronią jeden z nich mógł wyprowadzić drugiego. Jeszcze w czerwcu 1944 r. SS-mański mundur pomógł więźniowi zbiec z kuchni obozowej.

Udane ucieczki oraz inne formy samoobrony wpływały niewątpliwie mobilizując na więźniów.

Z PROCESU KATÓW MAJDANKA

(Lublin 27.XI - 2.XII.1944)

Ta książeczka jest dzisiaj prawdziwym białym krukiem. Ukazała się w bibliotece Związku Patriotów Polskich w ZSRR. Tytuł: „Majdanek” — rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie”. W dniach 27 listopada — 2 grudnia 1944 r. odbył się w Lublinie pierwszy w dziejach proces katów hitlerowskiego obozu koncentracyjnego.

W przedmowie książki stanowiącej właściwie stenogram rozprawy czytamy m. in.: „Lubelska rozprawa sądowa była sądem nie nad tymi lub innymi zbrodniarzami lecz nad samą zbrodnią Majdanek. Ta książka oskarża nie ludzi, ale system, który do tych zbrodni doprowadził, ideologię, która je na świat wydała, państwo, które je organizowało, rząd, który do nich podżegał. Majdanek — to nie tylko obóz ludzkiej męki, obóz zniszczenia i śmierci; to także symbol — symbol całego zezulenczenia i nikczemności, której na imię faszyzm. Majdanek, to obraz tego, co sżykował hitleryzm wszystkim narodom Europy, i proces zbrodniarzy z Majdanek — to proces hitleryzmu”.

O godzinie 9 wchodzi na salę Sąd w składzie: przewodniczący Bohdan Zembrzowski, ławnicy: Genowefa Nadulska i Tadeusz Dymowski, Prokurator Sądu Specjalnego reprezentujący oskarżyciele publiczni — Henryk Cieśluk i dr Jerzy Sawicki. Przewodniczący Zembrzowski otwiera posiedzenie Sądu Specjalnego.

Przewodniczący stwierdza obecność oskarżonych: Herman Vogel, Wilhelm Gerstenmeier, Antoni Ternes, Teodor Schoelme, Heinz Stalp, Edmund Pohlmann, oraz ich obrońców z urzędu, którymi są: adw. adw. Wojciech Jarosławski, Kazimierz Krzymowski, Tadeusz Krystoń, Aleksander Kunicki.

Przewodniczący przystępuje do badania personalii oskarżonych i następnie rozpoczyna się rozprawa.

Z przesłuchania osk. H. Vogla

PRZEW.: Czy oskarżony przyznaje się do winy i jakie złożył Sądowi wyjaśnienia?

OSK.: Nie przyznaję się do winy.
PRZEW.: Kiedy oskarżony wstąpił do SS?

OSK.: W czerwcu 1934 r.

PRZEW.: Czy oskarżony od początku pełnił służbę na Majdanku?

OSK.: Najpierw zostałem powołany do regularnego wojska (Wehrmacht).

PRZEW.: Kiedy oskarżony został przeniesiony do SS?

OSK.: Zostałem powołany do SS w lipcu 1942 r.

PRZEW.: Czy oskarżony był w Oranienburgu?

OSK.: Musiałem się stawić w Oranienburgu, potem zostałem przeniesiony do Lublina.

Na pytanie przewodniczącego jakie funkcje spełniał oskarżony na Majdanku, Vogel odpowiada, że jego zadaniem było „zbieranie brudnej bielizny, doprowadzanie jej do pralni, odbieranie i potem rozdawanie wypranej bielizny więźniom”.

PRZEW.: Czy oskarżony może sobie przypomnieć, ile wysłano odczędy do Niemiec w czasie jego działalności?

OSK.: Przypominam sobie, że wysłano kolejną 17 wagonów odczędy.

PRZEW.: Czy wiadome było oskarżonemu, że w tym obozie były komory gazowe, w których mordowano więźniów?

OSK.: Słyszałem o tym.

PRZEW.: Skąd się wzięło tych 17 wagonów z odczędami?

OSK.: Ten ładunek był już gotowy, gdy przyszedłem do obozu.

PRZEW.: Czy oskarżony wiedział, co się dzieje w obozie? Gdy pojechał na urlop, czy widział się z żoną, czy opowiadał swojej żonie, co słyszał na Majdanku?

OSK.: Tak jest.

PRZEW.: Dlaczego oskarżony w śledztwie powiedział, że nie opowiadał żonie o tym, bo się wstydział?

OSK.: Nie o wszystkim opowiadałem, tylko częściowo.

PRZEW.: Dlaczego więc oskarżony mówił, że wszystko przed nią ukrywał? W liście

do żony oskarżony przecież pisał: „wstydzę się tego, że jestem Niemcem”.

OSK.: Moja żona wstydziała się o tym opowiadać, bo się wstydziała, że jej mąż jest SS-owcem.

Prokurator zapytuje, co oskarżony teraz myśli o tym, co działo się na Majdanku. Vogel odpowiada: — To były okrucieństwa.

Z przesłuchania osk. W. Gerstenmeiera

PRZEW.: Czy oskarżony wie o tym, że na Majdanku niszczone ludzi za pomocą komory gazowej, że zabijano pałkami i rozstrzeliwano?

OSK.: Wiem o komorze gazowej, o tym, że zwłoki były spalane, że więźniów bili.

PRZEW.: Czy ludzi szczeni psami?

OSK.: Słyszałem o tym.

PRZEW.: Kto, zdaniem oskarżonego, ponosi odpowiedzialność za to, co się działo na Majdanku?

OSK.: Dowództwo policji i jego pomocnicy.

PRZEW.: Czy wyszedł rozkaz wyniszczenia wszystkich Żydów w obozie zatrudnionych?

OSK.: Tak.

PRZEW.: Czy wiadomo oskarżonemu, że wszystkie zakłady Żydów zostały rozstrzelane?

OSK.: Tak.

PRZEW.: Czy to się stało w jednym dniu?

OSK.: Wszystkie w jednym dniu.

PRZEW.: Czy na Majdanku były i dalsze?

OSK.: Tak jest.

PRZEW.: Co się stało z tymi dziećmi?

OSK.: Słyszałem że zostały zagazowane.

PRZEW.: Jakże to były dzieci? W jakim wieku?

OSK.: Słyszałem, że dzieci od 3 do 4 i od 16 do 12 lat.

Z przesłuchania osk. A. Ternesa

PRZEW.: Oskarżony słyszał o tym, co się działo w obozie, jak to ocenia?

OSK.: To wola o pomście do nieba.

PRZEW.: Dlaczego w takim razie oskarżony został w obozie?

OSK.: Bo byłem żołnierzem.

PRZEW.: Jaką karę powinni otrzymać ci, którzy przyczynili się do tych obozów koncentracyjnych?

OSK.: Powinni być razem z Hitlerem postawieni pod ścianę.

PRZEW.: Czy oskarżony sądzi, że całe postępowanie Hitlera jest temu winne?

OSK.: Hitler wprowadził w szal całą Europę... Jego ideologia podpaliła cały świat. Problem zniszczenia Żydów jest nie do przeprowadzenia.

PRZEW.: Czy oskarżony tylko dlatego potępia ten problem, że jest nie do przeprowadzenia?

OSK.: To była głupota.

PRZEW.: Czy innego okroślenia oskarżony nie ma?

OSK.: Powiedziałem, że to wola o pomście do nieba. Jestem rzymsko-katolickiego wyznania i niedobrze mi się robiło od tych zajęć.

PRZEW.: Co się stało z odzieżą i majątkiem pomordowanych?

OSK.: O odzieży nie wiem, ale kosztowności i pieniądze szły do Berlina.

PRZEW.: Czy to było systematycznie jak u Niemców w zwyczaju, zrobione i zapisywane?

OSK.: Wszystko zostało systematycznie zrobione.

PRZEW.: Włóż wszystko zostało zrobione systematycznie, bez błędów buchalteryjnych?



Fot. A. Polakowski

OSK.: Tak jest. Wszystko zostało zrobione systematycznie. Oczywiście, co SS brała na lewo, tego rejestrować nie było można.

PRZEW.: Czy oskarżony wie, jak dawano jeść w obozie?

OSK.: Jedzenie było wcale niele.

PRZEW.: Czy oskarżony przy takiej pracy zgodziłby się na takie jedzenie?

OSK.: Nie zgodził bym się.

Z przesłuchania osk. H. Stalpa

PRZEW.: Jak niszczone dzieci w komorze gazowej?

OSK.: Samochód nadjechał do komory gazowej, przy tym była obsługa SD. Dzieci skierowano na pole kobiet i stamtąd przyprowadzono 10 kobiet, które musiały rozbiierać dzieci. Potem dzieciom kazano iść do komory, opowiadano im bajki, że tam jest dobrze... Gdy były już w komorze, jeden z SD zamykał drzwi, potem czworokątnym otworem zostały wsunięte naboje gazowe.

PRZEW.: Czy oskarżony wie, że w krematorium palono żywych ludzi?

OSK.: Tak. Jeden wypadek mogę opowiedzieć... Było to w styczniu 1944 r... Drzwi do krematorium były nieco uchylone; mogłem więc obserwować, co się tam dzieje; widziałem, że stół samochód ciężarowy, eskortę stanowiło kilku SS z piasków. Auto zostało odkryte, mężczyźni wyszli, a po nich jedna kobieta (mowa o partyzantach). Wszyscy oni musieli wejść do krematorium. Oberscharführer

Mussfeld, znany jako okrutnik, był komendantem krematorium i brał udział w rozstrzelaniu. Kazano tym ludziom zebrać się do naga. Mężczyźni musieli wejść do komory betonowej, potem dwóch z SD otworzyli drzwi i z pistoletów maszynowych strzelali do tych ludzi. Zrobiło się bardzo głośno i wtedy Mussfeld powiedział, żeby się rozebrała kobieta. Ona nie chciała się rozebrać. Wówczas Mussfeld zagroził jej, że jeśli nie rozbiere się natychmiast, to pójdzie pod pejsz. Kobieta się obroniła; gwałcił ją z niej ściskając płaszcz, drapała. Mussfeld miał potem potropioną twarz. Mussfeld zawołał dwóch dozorców, wielkich i silnych ludzi. Kazali związać kobiecie ręce i nogi. Potem odesłał dozorców i spytał kobietę, czy chce się dobrowolnie zebrać. Kobieta, leżąc na ziemi, broniła się jeszcze i kopiała, gdy Mussfeld się zbliżał, groząc, że żywcem ją spali. Potem słyszałem, jak klapa komory się zamknęła, jak krzyczała jeszcze w komorze, ale tylko raz, bo przy tej wysokiej temperaturze człowiek natychmiast musi się zwęglić. Kobieta wsunęła do pieca jak chleb w piekarni, na nożach, które przeznaczono były dla trupów.

PRZEW.: Czy były wypadki, kiedy ojciec musiał swego syna powiesić?

OSK.: Takie wypadki zachodziły w starym krematorium... Raz spędzono do starego krematorium 20-30 osób. Tu znajdowała się belka, w której na środku był hak. Podstawiono tych ludzi pod tę szubienicę i ojcowie własnych synów musieli wieszad.

PRZEW.: Co oskarżony wie o akcji z Hrubieszowa i Zamościa? Czy to prawda, iż ludzie stamtąd w kolejce czekali do krematorium?

OSK.: Wiadomo mi o tym, czekał kilkanaście dni.

PRZEW.: Czy znane są oskarżonemu wypadki, że bito jeńców zatrzymanych w Majdanku tak długo, póki nie oddawali kawy, i że musieli następnie ten kawał zjadać?

OSK.: Tak.

Wystarczy, chociaż można jeszcze długo cytować zeznania oskarżonych, świadków, przemówienia prokuratorów. Oskarżenia, oczywiście, jak tylko mogli wykręcał się od odpowiedzialności. Oni najwyżej „słyszeli”, czasami „widzieli”, ale nigdy sami nie dretyli, nie mordowali. Dopiero świadkowie musieli im o tym przypomnieć.

Kaci zostali skazani na karę śmierci. Wyrok wykonano publicznie 3 grudnia 1944 r. na Majdanku, tam, gdzie popelniali zbrodnie. Kiedy prowadzono ich ulicami Lublina, milicjanci musieli strzelać w powietrze, gdyż mieszkańcy miasta chcieli dokonać samosądu. Nie dziwimy się — zbyt wiele były jeszcze w pamięci krwawe dni Majdanek...

HELENA PLATTA

Żyd za drutami

Chciałem kochać ludzi —

— nienawidzę.

Świat — zwał się do chwili,

czas — złałam przestrzennym wymiarem.

Przedem mną —

nieładzkie twarze,

oczy, których nie przeniknąć,

barak.

Dym mojej matki i brata

zamiast krwi

chwytam w zdrętwiałe palce:

nie ma nic —

nie wiem czy: oni?

Obłok przesunął się po nich...

Na własnej myśli sznurze

zawisłem

waszą zmożony nienawiścią.

Autobusem W pradzieje



Kobylniki, pow. Busko. Widok na wykop główny (Zdjęcie autora)

ZJEZDŻALIŚMY właśnie do podnóża dużego wzniesienia, gdy silnik przestał pracować. — No tak, tutaj się tu gdzieś ustawimy i autobus Kiele mi ucieknie... Kierowcy dynamicznego „Sana” awaria chyba nawet przez myśl nie przeszła, bo nie odrywając wzroku od szosy wyrzucił dwukrotnie ręką w deskę rozdzielczą i silnik zaskoczył. Złapałem więc dalszy ciąg autobusowej podróży i po półtoro godzinie wysiadłem we wsi Chochol.

„Od przystanku półdziesiąt drogą w 105 ok. 2 km” — pisał Krzysztof, Szedłem pół godziny, gdy z bocznej drogi wyjechał wóz:

— Wykopaliska? Siadał pan, jadę w tamtą stronę. A pan to chyba pierwszy raz u nas?

— Tak, tu pracuje ośrodek warszawski, a ja jestem z Łodzi — klarowałem.

— O, to już Kobylniki, ja tu skręcałem, szkoła to ten drewniak.

Po chwili wszedłem do klasy IVb; jutro wypadło zacząć swój kolejny sezon wykopaliskowy.

Sceneria sprzed lat tysiąca

Ekspedycja Wykopalska Zakładu Polskiego Atlasu Archeologicznego Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN w Warszawie rozpoczynała szósty rok prac w osadzie z „okresu rzymskiego” (0—400 n. e.) w Kobylnikach, pow. Busko. Jeszcze tego samego wieczora wraz z kierownikiem ekspedycji, mgr Jerzym Pyrgałą, ustaliśmy plan pracy. Lata poprzednie dostarczyły wiele cennego materiału: kilkadziesiąt śladów chat, liczne jamy gospodarcze, m. in. ze zbożem, ceramiką, przesiłki. W tym roku chodziło o uchwycenie za sięgły osady. Wykop będą więc rozrzucone; jeden — główny ma kontynuować zeszlaczony.

Był początek lipca, ten miesiąc mieliśmy spędzić w scenerii sprzed tysiąca i więcej lat.

Dolina Nidy jest z dwóch stron ograniczona pasami wzgórz pokrytych zarostem lasów i lysinami lanów zbóż. Zielone hektary łąk doliny zalewowej — upstrzone białymi kwiatami gęsi i kaczek, czerwono-czarno-białymi zagłębieniami stad. Nida wrzyna się w łąki meandrowatym korytem. Brzegi niskie, częste powodzie. Kobylniki leżą na krawędzi nadzalewowej.

Zarysy chat i jamy wychodzą stosunkowo płytko (30—40 cm) odcinając się ostro czernią na jasnym marglowym tle. Margiel króluje wszędzie. Biała skała lupana na płaskie kawałki jest plotem, ścianami domów, obór, stodoł. Cała Kieleccyzna przeciw biała.

Jedna z charakterystycznych, okrągłych jam jest bardzo głęboka, doszliśmy już do 120 cm, a końca nie widać. Zachodnia ściana schodzi ukosem i jest słodka; wszędzie margiel.

— Patrząc — mówi Ryszard — oni wykorzystali naturalne ułożenie skały i jedną ścianę mieli gotową. O, ziarno jest.

Dalsze warstwy ziemi trzeba przewracać. Wreszcie ukazują się płasko wykute w marglu dno. Głębokość 170 cm. Jeszcze jedna piwnica na zapasy, których resztki przeleżały ok. 1600 lat, by znowu ujrzeć świat, tym razem na biurku naukowca. Półtora metra obok odkryliśmy podobną jamę, również głęboką i z ziarnami zboża.

— Proszę pana — wolano z aru nr. XV — tu coś jest.

Rzeczywiście: na granicy ćwiartek A i D ukazała się duża prostokątna piwnica. Kiedy zdjęto jeszcze jedną warstwę, sprawa stała się jasna. Były to zarysy dwóch, nakładających się

jedna na drugą chat (sądząc po materiale ceramicznym) wczesnośredniowiecznych. Wyraźne linie ścian bocznych, spalona smuga po belce. Właściwie należało się tego spodziewać. Kobylniki były we wczesnym średniowieczu tzw. osadą służebną. Ze śladami osadnictwa wczesnośredniowiecznego przyjdzie nam się spotkać jeszcze nie raz.

Prace wykopaliskowe szły pełną parą na kilku odcinkach: Krzysztof otworzył wykop nad samą krawędzią terasy nadzalewowej, Wiktor miał za zadanie odtworzenie granicy południowej osady, ja — północnej.

Ognisko nad Nidą

Ar (10×10 m) podzielony jest na cztery ćwiartki: A, B, C, D. (5×5 m). Są one oddzielone od siebie tzw. murkami profilowymi, czyli po prostu wąskimi paskami ziemi (0,5 m), która zostaje nie ruszana, podczas gdy wewnątrz ćwiartek poziom obniża się systematycznie. Kiedy powierzchnia ćwiartki dotrze do calca (warstwy nie wykazującej działalności człowieka) starannie oczyszczona ścianka dzieliła da przekrojów — jeszcze jedną podstawę do wnioskowania o przeszłości osady.

Wykop, który prowadziłem, miał dwa ary usytuowane na osi północ—południe. W południowych ćwiartkach aru południowego, wystąpiły dwie jamy gospodarcze i bardzo zniszczony ślad chaty. Północne ćwiartki tego aru i cały ar północny były jałowe. Mały sondaż ok. 20 m od półn. granicy również nie zawierał. Otrzymałmy więc odpowiedź na pytanie, gdzie był północny kraniec osady.

Wieczorem naniósłem plany „swoich” odcinków na ogólny plan a kiedy ktoś zaproponował, by rozpalili ognisko nad Nidą, przyłączyłem się do tych którzy byli za.

Płonął więc stos układając chwielej się cienie nadbrzożnych drzew na polyskującej tafli wody.

— Słuchaj Jurek — jutro jest sobota, prace kończymy wcześniej, może „zobędziemy” Wiślicę? „Zaatakowalibyśmy” od strony łąk, pójdziemy na skróty, to jakieś 4 km?

Byłem za.

„Zdobywamy” Wiślicę

Najpierw widać spadzisty, czerwony dach kolegiaty. Potem w miarę przybliżania się czerwona plama dachów zwiększa się, siedząc jak czapa na niewielkim wzniesieniu, na którym leży miasteczko. Pochodzimy od strony cmentarza żydowskiego, a ponieważ jest bardzo gorąco — siadamy na ocienionych ławkach w rynku. Po chwili zszosą z Kiele wędzka zakurzony Citroen DS 19 z francuskimi znakami rejestracyjnymi, a zaraz potem obladowana bagażnikiem Warszawa. Pasażerowie razem znikają w chłodnym wnętrzu kolegiaty.

Wiślica to klasyczny przykład wkładu archeologii w bieżące sprawy naszych czasów. Do roku 1953 egzystowała jak szereg innych, małych miast Kieleccyzny. Odkrycie w kolegiacie fundamentów kościoła z X w. i w 1959 wielkiej misy chrzcielnej z IX w., badania grodziska z X w., spowodowały, że znalazła się na ustach prawie całej Polski. Musiało i znalazło to odbicie w szybszej realizacji kilku na-

brzniętych miejscowych problemów, czego najlepszym przykładem nowa zsoza do Buska.

Na grodzisku prażyło straszliwie. Stanęliśmy na wałach, gdzie wiało od łąk, a właściwie od bagien. (Po paru godzinach deszczu łąki zamieniają się w grzęzawiaka nie do przebycia). Sam gród leżał na wychodniach skałki gipsowej, na takiej samej skałce, w odległości 500 m istnieje do dziś osada Wiślica.

— Słuchaj — to gród trwał krócej od osady?

— Tak — odpowiada Krzysztof i wpada w trans: — Osada trwa od IX w. do chwili obecnej, gród krócej, bo od przełomu X/XI w. do połowy XIII w. Na podstawie badań wykopaliskowych wyodrębniono trzy jego fazy. Pierwsza charakteryzowała się umocnieniami o konstrukcji przekładkowej drewniano-ziemnej, domami półziemiankowymi wykutymi w skałę, z oaleniskami w rogu. Przyczyną zniszczenia tych konstrukcji był pożar, którego liczne ślady stwierdzono w czasie analizy stratygraficznej.

— Druga faza to okres rządów Kazimierza Sprawiedliwego. 1166—1177. Umocnienia były wyjątkowo potężne: mury grubości 2 m z kawałkami lamunego gipsu, łączony z zaprawą wapienną... O, patrz tu jest odkrywką! Domy także półziemiankowe z tym, że z piecami kopulowymi, konstrukcja ścian domostw albo piecankowa albo zrebowa; oprócz tego wykuta w skałę studnia.

Trzecią fazę można łączyć z czasami Henryka Brodatego. W r. 1241 gród został zniszczony przez najazd Tatarów po bitwie pod Chmielnikiem.

Staliśmy na wałach i patrzyli przed siebie. Gdzieś, tam za kepmi lasów, za płatami łąk leżał wsie Kobylniki, Zurawniki, Skotniki, Kuchary, Szczytniki, Winiary — dawne osady służebne, których duża liczba świadczy o poważnej zaludze grodowej, o rozmiarze posiadłości księcia. (Zadaniem osad służebnych było wykonywanie odpowiednich czynności dla grodu i jego załogi, od nazwy funkcji jaką osada spełniała powstała jej nazwa). Kobylniki — wieś w której kopaliśmy osadę z „okresu rzymskiego”, w kilkadziesiąt lat później dostarczała koni, dostawianych przez rycerzy kasztelana wiślickiego.

Wracając przez łąki, wracaliśmy przez stulecia.

Najciekawiej zapowiadał się wykop Krzysztofa. Prawie idealnie na drodze odkrytych arów wystąpiło długie, szerokie może na 1,5 m zaciemnienie, niknące w nie kopanej ścianie. W tym miejscu naturalna granica doliny zalewowej — niewysoka faldra — stopniowo wtapiała się w płaski teren. Przedłużaliśmy wykop, by odsłonić dalszy ciąg zaciemnienia. Chaty i jamy gospodarcze pozostawały oddalone od niego o ok. 20 m na wschód. Natrafiliśmy więc na umocnienie — wał ziemny, który miał za zadanie osłaniać osadę od wylewów Nidy.

Imponująca wyglądała wielki już teraz ogólny plan wykopów. Uaktualniany każdego dnia stanowią podstawę do układu robót na dzień następny. Teraz, pod koniec prac wykopaliskowych, stanowią wizualny ich rezultat.

Na mapie osadnictwa „okresu rzymskiego” w południowej Polsce przybył nowy punkt — Kobylniki.

Debiuty

ANDRZEJ
SŁOBODZIŃSKI

niepokój

Odmów różaniec swoich dni o każdej nocy ocalszają od snów beztreściu, dnia każdego nocy odmawiaj nie przespiane

to chwila, której końca nie wiesz a i początek znasz za mało — kiedyś zostaniesz może śpiewem Jesliś poetą Jest — a ciało?

o znowu dzień z turkotem się przeloczył
Jak gdyby ktoś zarzucił ci na szyję rękę — odmawiaj takie dni o każdej nocy

Wjeseż Zakopane

JANUSZ RELIDZIŃSKI Ludzie mówią

Mówią ludzie
Idziemy do celu

Mówią ludzie
Przyjdzie krysa

Mówią ludzie
Pod tę świetlaną

Mówią ludzie
Wiele zrozumiałem

Mówią ludzie
Hajda na Soplce

Mówią ludzie
Upływa szybko życie

Ludzie mówią
Kazimierza Wroble

FRANCISZEK DZIEDZIC

I znów

I znów bez słowa chodźmy obok siebie.
Jak zawsze — umarli — nieznani.
Ty, jak kamień w kamieniołomach.
Ja, jak cegła wypadła z muru.

Jarosław

ALINA OZONEK

Ty

Lubię twoje dłonie
które unoszą mój świat
Twoje usta o niedokończonym rysunku
Twoje oczy, kiedy są zmęczone.
Twoje kroki, które są dla mnie jedyną
Twoją niepowtarzalność uśmiechu.

Lubię szare godziny z tobą,
oczekiwania na twoje powroty,
wspólne spacery przed nocą
i cały świat, gdy jesteś obok.

Nie zabieraj mi tego, co lubię.
Weź raczej mnie — niedoskonałą.

Lublin

TADEUSZ B. GLUBIŃSKI

Faszizm

gdzie książki palą
wkrótce
ludzi pallé będą
rekl Pisara
i zbrunatniała
czarna noc
nad Europą
zdrętwiała
i cóż
pallii

Entuzjaści

Z inicjatywy ambitnych entuzjastów, przy poparciu miejscowych władz partyjnych i administracyjnych, Wydziału Kultury WRN i ówczesnego posła tego regionu, sekretarza PAN — prof. dr H. Jabłońskiego, powstało w październiku 1963 r. Radomskie Towarzystwo Naukowe. Początkowo tu i ówdzie powątpiewano w celowość i szanse utrzymania się przy życiu RTN, z czasem przyzwyczajono się, zapomniano...

Ogień nie był słomiany. W odnowionych murach ratusza rozpoczęły się cykle wykładów, zebrań, spotkań, narad. Nie wiadomo — sąsiedztwo obszerne i cenny magazyn oddziału Archiwum Wojewódzkiego, czy zapal i wytrzymałość kilkudziesięciu członków pozwoliły działać coraz śmielej, wbrew przewidywaniom pesymistów. Może pasja prezesa — dr Stefana Witkowskiego udzieliła się pozostałym? Kto wie, człowiek to ciekawy! Z wykształcenia — ekonomista, z zawodu — urbanista, a pracę doktorską bronił z... geografii.

Towarzystwo zdołało dotychczas nie tylko przeprowadzić dziesiątki zebrań organizacyjnych i roboczych, ale wyda-

ło pierwszy „Biuletyn Kwartalny RTN” oraz pozycję w formie rocznika — „Rozwój Radomia 1945—1964”. Na osiemdziesięciu stronach powielanego kwartalnika zamieszczono kilka artykułów traktujących o zagadnieniach geologicznych regionu radomskiego i rozwoju granic powiatu, wstępne studium ekologii społecznej miasta, recenzję książki „Chocza walczy”, statut RTN i protokół z pierwszego zebrania. Rocznik przygotowano i wydano starannie, okazale. Lepszy papier, dwieście kilkadziesiąt stron druk (nie powielacz), kilkadziesiąt interesujących zdjęć. Autorzy, członkowie RTN, omówili w swych pracach wszystkie dziedziny życia 140 tys. miasta w powojennym dwudziestolecu. Szkoda tylko, że nakład skromny (2 tys. egzemplarzy).

Mode Towarzystwo nie ustaje w pracy. Drugi kwartalnik już w druku, a materiały kolejnego rocznika — poświęconego tym razem przemianom przemysłowym Radomia w minionych dwudziestu latach — w październiku br. mają znaleźć się na stole zecera. Paragraf piąty statutu — głoszący, że celem RTN jest praca nad rozwojem i popularyzacją badań naukowych, szczególnie dotyczących miasta i regionu radomskiego — nie został więc przyjęty jedynie dla nadania Towarzystwu większej rangi. Przestrzega się również innych założeń, precyzujących formy działalności czterech komisji: nauk przyrodniczych, historii i nauk społecznych, kultury i sztuki oraz nauk technicznych. RTN uczy badać, inspiruje badania, spieszy z fachową pomocą przyszłym magistratom i doktorom, popularyzuje.

Działalność opiera nie tylko o życiową aprobatę lokalnych czy wojewódzkich władz i skromne dotacje Prez. MRN. Utrzymuje kontakty z UW, UMCS, uniwersytetami w Łodzi i Szczecinie, instytutami naukowymi. Prof. dr Jan Pazdur z PAN jest w RTN stałym konsultantem, na liście wybitnych prelegentów widnieją m. in. nazwiska profesorów z uczelni w Lozanie i Dijon. Nie ma w mieście instytucji o charakterze regionalnym czy naukowym, z którą by RTN nie współpracowało. Ot, choćby oddziały Polskiego Towarzystwa Historycznego, Ekonomicznego, Geograficznego, Lekarskiego, Klub Miłośników Radomia, PITK, NOT, SARP...

RTN udowodniło, że jest potrzebne.

RADOM przyszłości

(Dokończenie ze str. 1)

nistów i ekonomistów, którzy potrafili stworzyć plan ogólnego zagospodarowania przestrzennego miasta niemal doskonały, w pełni odpowiadający obecnym potrzebom. Za jego opracowanie zespół Miejskiej Pracowni Urbanistycznej otrzymał w br. nagrodę państwową II stopnia. Wśród wielu pochlebnych ocen na najwyższą notę zasługują walory ekonomiczne rozwiązania. Według założeń Radom rozwijać się będzie według najniższych w Polsce kosztów. Projektanci w pełni wykorzystali bardzo korzystny układ miasta lokalizując przemysł wzdłuż najbardziej czulego nerwu, jakim jest żelazna droga. Biorąc pod uwagę użyczenie terenu, układ komunikacyjny, drogowy i wiele innych czynników, obliczono, że inwestowanie w Radomiu jest o 10 procent tańsze niż w innych miastach.

Plan poleca Radomiowi spełnianie w dalszym ciągu funkcji miasta przemysłowego z tym, że fabryki uciążliwe zostaną przeniesione z centrum na dalekie peryferie. W obecnych dzielnicach przemysłowych rozbudowywać się będzie zakłady produkcyjne wymagające dużych nakładów robocizny ręcznej. Tu duże pole do popisu będzie miał przemysł: garbarski, obuwniczy, spożywczy. Chodzi bowiem o to, aby ograniczyć i do maksimum skrócić dojazdy ludzi do pracy.

Przemysł wielki otrzymał tereny w Podkanowie, Młodzianowie i na północnym krańcu miasta. Już dziś wiadomo, że na północy budowana będzie olbrzymia fabryka maszyn do obróbki plastycznej. W przyszłości ten kołos nie tylko zaspokoi nasze potrzeby w tej dziedzinie, ale poważny procent produkcji pójdzie na eksport. Założenia są już opracowane, a budowę rozpocznie się na początku przyszłego planu 5-letniego. W tej dzielnicy przemysłowej, z którą łączy się będzie duża dzielnica składowa, zostanie wybudowana elektrociepłownia. Spełniać ona będzie dwójaką funkcję. Po pierwsze dostarczy ciepło i energię dla przemysłu i dzielnicy mieszkaniowych, a po drugie będzie na usługach ogrodnictwa i sadownictwa, któremu wydzielono tereny między północną dzielnicą przemysłową, a dużym, nowoczesnym 40-tysięcznym w przyszłości centrum mieszkaniowym — osiedlem XV-lecia. W ten sposób powstanie tu planowo zagospodarowany, naturalny pas zieleni.

Do roku 1980 ludność Radomia wzrośnie o 40 tysięcy i wynosić będzie 185 tysięcy. Dla tej armii trzeba będzie stworzyć nowe miejsca pracy. Już dziś rozpoczęto drugi etap budowy naj-

większej w kraju fabryki łączników w Podkanowie, planuje się wzniesienie zakładów naprawy autobusów. Myśli się również o budowie innych fabryk, które znacznie podniosą rangę Radomia w przemyśle województwa, chociaż i dziś jest ona niebagatelna. Miasto skupia 21 procent zatrudnionych w przemyśle województwa, daje jednocześnie ponad 50 procent produkcji przemysłowej Kielecczyzny.

Dzielnice mieszkaniowe umieszczone w ten sposób, że mają one bezpośredni kontakt z ośrodkami przemysłowymi. Projektantom chodziło o to, aby maksymalnie skrócić dojazdy ludzi do pracy. Stworzy się cztery centra mieszkaniowe połączone ze sobą nowoczesnymi obwodnicami komunikacyjnymi, a oddzielnymi od przemysłu pasami wysokiej zieleni.

Plan perspektywiczny rozwoju Radomia przewiduje podniesienie cięgieł trudnych warunków bytowych w mieście nie tylko dzięki budowie nowych mieszkań ale i poprzez wyrównanie dotychczasowych braków w zakresie usług i urządzeń użyteczności publicznej. Np. zwiększy się liczba dzieci w przedszkolach z 17,6 do 60 procent. Poważnie wzrośnie również liczba miejsc w salach widowiskowych. Podwoi się liczba łóżek w szpitalach.

Projektanci niezwykle baczną uwagę zwrócili na zagadnienia odpoczynku. Podzielono go na trzy oddzielne kategorie. Odpoczynek codzienny, cotygodniowy i coroczny. Dla zaspokolenia potrzeb plewskiej grupy zagospodarowuje się tereny rekreacyjne wokół oddanego do użytku w bieżącym roku sztucznego zbiornika wodnego, położonego niemal w centrum Radomia. Nie wiele jest miast w Polsce, które będą mogły poszczycić się tak doskonałym położeniem i świetnie wyposażonym terenem odpoczynku codziennego. Ponadto zostaną zadrzewione tereny wokół Kaptury, Kosowa, Jeżowej Woli, Godowa, doliny rzeki Mlecznej, a w obszarze położone bądź to w granicach miasta, bądź z nim sąsiadujące, do których dojazd nie trwa dłużej niż 10-15 minut.

Tereny dla odpoczynku cotygodniowego i dłuższego zlokalizowano w Rajcu Letnisko, w Jedlni, Pacynie, Lesławie i Jedlińsku. W miejscowościach tych tworzy się zbiorniki wodne, buduje zakłady gastronomiczne, zespoły domków campingowych.

Niezwykle ambitne są radomskie zamierzenia na najbliższe lata. Opracowano je jednak w oparciu o realne możliwości i na podstawie wielu studiów w zakresie socjologii, ekonomii, gospodarki wodnej, fizjografii itp.

Kazimierz Spólnicki

HENRYKA KOSIOWA

* * *

Na sarnich nóżkach brzozy wyszły
[na spotkanie.
Czuźnie strzągą listwami wiatr
[z błękitnej chmury.
Potem w ukryciu milkną —
[spłoszona zwierzyzna.
I tylko kłos powiewa zielenią
[kosmatą.

Pokłon motylom polnym,
drodze bożej krówki.

Właśnie w środek tej ciszy
chciałbyś się przedostać,
lecz kiedy staniesz stopą,
wszystko zburzysz razem.

Lękiem strzelił wzrok sarny
boża krówka wleci
krzyknie płak
i tylko kłos jęczmienia —
wujaszek wąsaty —
nie przestanie całować do krwi
pokornych główek maków.

Radom

(Dokończenie ze str. 3)

przesadnie ukierunkowany. Wprawdzie Kielce, jako stolica województwa, mają większe potrzeby, nie mniej powinny się one bardziej troszczyć o to, aby już istniejący dorobek kulturalny nie został zaprzeczony. A nie zawsze przecież można działalność kulturalną opierać wyłącznie na ludziach pracujących społecznie.

— Powszechnie uważa się, że skoro Radom jest miastem powiatowym to wystarczy mu śródmieście powiatowe...

— Chyba jednak obraz nie jest aż tak pesymistyczny. — Wspomniała pani o nowych inwestycjach...

— Zbudowana została sala koncertowa, odbudowany zabytkowy Dom Esterki, obecnie, w czynnie społecznym, budujemy dwa dzielnicowe domy kultury. Ponadto z budownictwa DBOR przekazano nam kilka nowych filii Miejskiej Biblioteki Publicznej. Nowy gmach otrzymała Szkoła Muzyczna. W planie jest przydzielenie nowych lokali dla ognisk artystycznych — plastycznego i baletowego. W czynnie społecznym wybudowany zostanie pawilon sztuki.

— Jaka dziedzina artystyczna jest w Radomiu najbardziej popularna?

— Muzyka i plastyka. Od dwóch lat życiu muzycznemu naszego miasta patronuje Filharmonia Narodowa. Nowa sala koncertowa pozwala na częste zapraszanie innych orkiestr symfonicznych, solistów i dyrygentów...

Kultura nad Mleczną

— Jutro można usłyszeć Czerny-Stefańska i Filharmonię Lubelską.

— O, gościliśmy już Filharmonię Narodową z Rowiekim i Kędra, Orkiestrę Symfoniczną z Drezna, Małcużyńskiego... Wkrótce przyjeżdża Berlińska Orkiestra Symfoniczna...

— I oczywiście koncerty Radomska Orkiestra Symfoniczna.

— Przede wszystkim... Właśnie z myślą o naszej orkiestrze budowaliśmy salę koncertową; sądziliśmy, że z chwilą, kiedy stworzymy jej odpowiednie warunki i dobre zaplecze — będziemy mieli prawo do ubiegania się o jej upaństwowienie. Tymczasem jednak uległy zmianie warunki obiektywne, w resorcie kultury istnieje bowiem tendencja do likwidowania orkiestr symfonicznych, które nie reprezentują dostatecznie dobrego poziomu. W tych okolicznościach szanse na realizację naszych dążeń poważnie się zmniejszyły, ale, oczywiście, z niczego nie rezygnujemy... Orkiestra pracuje bardzo ambitnie, wie, że jest miastu potrzebna. Dzięki niej utrzymuje się i wzrasta zainteresowanie muzyką poważną. Szkoły muzyczne mają coraz więcej uczniów. Upowszechnianie muzyki

w Radomiu jest dobrze zorganizowane. Prowadzi się nawet stałe koncerty dla dzieci... Radomskie Studium Nauczycielskie należy chyba do nielicznych SN-ów w Polsce, w których są prowadzone zajęcia śpiewu i rysunku. W organizacji życia muzycznego zamierzamy wprowadzić pewne zmiany, polegające na połączeniu istniejących placówek.

— W pierwszych latach Polski Ludowej Radom był miastem malarzy. Czy i dziś to określenie jest aktualne?

— Sądzę, że wolno mi odpowiedzieć twierdząco. Mieszkają i pracują tu przecież tacy artyści, jak Wacław Dobrowolski, Tadeusz Henajrich, Władysław Kurpiel, Halina Krysińska, znany architekt wnętrz, Maciej Paterkowski i inni. Zwłaszcza z uznaniem pragnę podkreślić zasługi, jakie dla życia plastycznego Radomia położył Wacław Dobrowolski, nie tylko dobry artysta, lecz także nauczyciel, założyciel i organizator radomskiego szkolnictwa plastycznego. Również Maciej Paterkowski jest artystą mającym duże zasługi. Jemu to Radom zawdzięcza takie wnętrza, jak

salon obuwia, kawiarnia „Kameralna”, pomnik na miejscu straceń, projekt pawilonu sztuki i inne. Wiele prac wykonuje w czynnie społecznym...

— Wśród placówek kulturalnych każdego miasta niebagatelną pozycję zajmuje teatr. Radom od dawna nosił się z zamiarem usamodzielnienia swej sceny. Jak dotąd — rezultatów brak?

— Tak, nadal teatr ma scenę kielecką i radomską, nadal zespoły się wymieniają. Ponowne próby usamodzielnienia sceny radomskiej podejmiemy po ukończeniu kapitalnego remontu budynku teatru i utworzeniu tam zaplecza.

— Nie omówiliśmy jeszcze działalności wielu watawnych placówek kulturalnych, jednak sądzimy, że w rozmowie zarysowało się „oblicze” kultury w Radomiu...

— Do pełnego jej portretu dużo jeszcze brakuje. Muzeum, Ognisko i Baletowe, prowadzące ciekawą i różnorodną działalność liczą kłębny, domy kultury... Sądzę jednak, że „Kamena” w przyszłości będzie odwiedzać nas częściej, nie tylko z okazji jubileuszu miasta.

— Z pewnością. Dziękujemy za rozmowę, życząc owocnej i ciekawej pracy w mieście nad rzeką Mleczną.

Rozmawiał:

Władysław Sawicki

LISTY HENRYKA SIENKIEWICZA DO MATKI

(Dokończenie ze str. 1)

ca i opracowany przez Juliana Krzyżanowskiego „Kalendarz życia i twórczości Henryka Sienkiewicza”, (Warszawa 1954, II wyd. 1956) istotnie daje ogólny zarys wydarzeń życia pisarza i daty powstawania jego dzieł, ale nie jest dokładny, bo opiera się na niepełnym materiale źródłowym. Wiele dat np. oparto na listach H. Sienkiewicza, pisanych do Jadwigi Jarczewskiej, siostry pierwszej jego żony. Ostatnio ujawniły się trzy listy pisarza do jego matki. Dane w nich zawarte pozwalają poczynić małe poprawki w kalendarzu życia Sienkiewicza.

Jeżeli trzy listy zmieniają pewne daty w opublikowanym kalendarzu, można słusznie przypuszczać, że gdyby autor kalendarza zebrał pełny materiał epistolograficzny dotyczący H. Sienkiewicza i na tym materiale oparł swój kalendarz, dalby pełniejszy, pewniejszy i prawdziwszy zarys jego życia.

Julian Krzyżanowski (str. 140 w wyd. II) podaje, iż w 1887 roku Sienkiewicz przebywał w Abbazji, austriackim uzdrowisku nad Adriatykiem (obecnie jugosłowiańska Opatija) od 4 do 11 kwietnia, poczem od 18 do 25 kwietnia w Wiedniu. Z listu pisarza do matki z 12 kwietnia, pisanego z tejże Abbazji, wynika, że Sienkiewicz przebywał tam nie do 11 kwietnia, ale co naj-

mniej do 14 kwietnia, jeżeli 14 kwietnia spodziewał się otrzymać jeszcze w tejże Abbazji odpowiedź na inny swój list pisany do matki.

Drugi list do matki bez daty i miejsca daje się łatwo określić w czasie: śmierć Fryderyka króla Prus i cesarza Niemiec nastąpiła 15 czerwca 1888 r., więc list pisany był po tym dniu, w Kaltenleutgeben. Jeżeli Sienkiewicz miał w Kaltenleutgeben leczyć się przez 6 tygodni, a za 5 tygodni chciał się spotkać ze swoimi dziećmi w Sopocie, wynikałoby, że pisząc ów list do matki 16 lub 17 czerwca miał zamiar być w uzdrowisku mniej więcej do 20 lipca. Widocznie skrócił swoją kurację, gdyż już 6 lipca (J. Krzyżanowski, Kalendarz..., str. 148), a więc w trzy tygodnie po omawianym tu liście do matki, wyjechał do dzieł nad Bałtyk.

Trzeci list do matki z 7 października 1893 roku pisany był w Krakowie, jako że okulista dr Wicherkiewicz, do którego się z dziećmi wybierał, mieszkał w Krakowie. (J. Krzyżanowski, Kalendarz, str. 185).

Tych kilka uwag na marginesie nie znanych dotąd listów Henryka Sienkiewicza, nabytych przez Bibliotekę UMCS, może ułatwić ich pełne wykrzyślanie.

Krakowem, żeby być dwuch Edwardów bliżej. — Gdyby mateczka zdecydowała się zabrać dzieci i z nią zamieszkać, wówczas nie był bym wprawdzie z Wami, bo muszę choć miesiąc jaki posiedzieć w Kalten — albo i dłużej, póki Tomu I nie skończę, ale jednak wolałbym to niż Dubniki, bo miałbym dzieci bliżej i w tych samych granicach, w razie jakiego wypadku mógłbym w kilka godzin być u nich i mieć codziennie niemal wiadomości. Naturalnie że te konsyderacje mają znaczenie tylko na wypadek, gdyby wyjazd okazał się konieczny dla ich zdrowia. — Jest jeszcze jedna kwestya, mianowicie paszportów. Jeśli ustawa wysokiej opłaty przejdzie, to trzeba by się w nie zaopatrzyć, nim prawo nowe zapadnie. — Spotkałem tu Winternitza, który jest zabawnym, bo zaczął od tego, że mi winaował iż przyjechałem tu nie do Kaltenleutgeben. Mówił że pod Wiedniem pogoda w ostatnich dniach była okropna, ale że ma nadzieję przedkiej zmiany. Dziwno i to jest, że tu dotąd raczej jest chłodno, niż ciepło. Drzewa nieco

wyżej nad brzegiem nie porożniawsę. — Co dzień stałe niemal od 11—13 w cieniu. W ostatnich dniach deszcz padał i było wietrzno. Bawi tu Stefanię cesarzowiczową. — Spotykam ją raz w raz, bo się wazędy kręci, bez żadnej suity, służby itp. Chodzi skromnie ubrana i socale niema cesaryjskiej miny. W I sze święto była na jej częste wielka oswajca — i iluminacyja na morzu.

Dr Heryng wyjeżdża dziś. Podobno bawia tu Czortoryscy, ale się z nimi nie zapoznam. Będę tu jeszcze z dziećmi dni, naprawdę sam jak człowiek. Wiener Allgemeine Zeitung zaczęło przekład Ogniem i Mieczem, z nadzwyczaj szumną zapowiedzią. Przekłada jakiś Loewenthal i pisze że to jest autoriserte Uebersetzung, a tymczasem, żeby mnie kto zabił nie pamiętam czy dawałem pozwolenie — i bardzo wątpliwe. Pewno mi nic nie zapłacę. Prosiłem Chłedowskiego, żeby sprawdził, czy jest pozwolenie. Całuję ręce mateczki, ojca ściskam, Pannie Mimi ukłony. Dzieci ściskam i całuję. HS...

List pierwszy

Abbazia

12/4 1887

Włocławek

Otrzymałam dziś list mateczki i Ojca z piątku. Pewno już wczoraj był na poczcie, ale często przerzucając pocztę przegapia, zwłaszcza jeśli na adresie jest cudzoziemskie nazwisko. — Dochodzą zresztą listy dobrze. Spodziewam się też jutro lub pojutrze odpowiedzi na drugi mój list pisany z Abbazji a zawierający propozycję wyjazdu pod Wiedeń. Pisała do mnie w tej materji Dżinnia, a razem odpo- wiedziała również na mój list. — Tożnogo że się odgadają oia wy- dołki. — Myśle, że przyjdzie spakować się z nami i iść pod Krakowem, żeby

Abbazia 12/4 1887 Wtorek

Otrzymałam dziś list Mateczki i Ojca z piątku. Pewno już wczoraj był na poczcie, ale często przerzucając pocztę przegapia, zwłaszcza jeśli na adresie jest cudzoziemskie nazwisko. — Dochodzą zresztą listy dobrze. Spodziewam się też jutro lub pojutrze odpowiedzi na drugi mój list pisany z Abbazji a zawierający propozycję wyjazdu pod Wiedeń. Pisała do mnie w tej materji Dżinnia, a raczej odpo- wiedziała również na mój list, donosząc że się oglądają na wydatki. Myśle, że przedzj zgodziłaby się zamieszkać pod

W następnym numerze wyniki konkursu „Kamenny“ ogłoszonego dla młodzieży szkolnej i studenckiej

Otrzymałam dziś list mateczki i Ojca z piątku. Pewno już wczoraj był na poczcie, ale często przerzucając pocztę przegapia, zwłaszcza jeśli na adresie jest cudzoziemskie nazwisko. — Dochodzą zresztą listy dobrze. Spodziewam się też jutro lub pojutrze odpowiedzi na drugi mój list pisany z Abbazji a zawierający propozycję wyjazdu pod Wiedeń. Pisała do mnie w tej materji Dżinnia, a razem odpo- wiedziała również na mój list. — Tożnogo że się odgadają oia wy- dołki. — Myśle, że przyjdzie spakować się z nami i iść pod Krakowem, żeby

List drugi

Kochana Mateczko.

Kartkę odebrałem, ale nie mogłem zaraz odpisać, bo miałem ból głowy, a w takich razach Winternitz nie pozwala mi nawet czytać, nie tylko pisać. Uważa on, że moje nerwy rozstroiły się bardzo od roku zeszłego, skonstratował szczególniej anemiję mózgu — i uzbrałmą cakiem pracować. Kurację, którą przepisał mi z początku zmienił zupełnie. — Biorę teraz laken-bady, które zresztą lubię, chociaż to jest środek energiczny, dalej bardzo zimne dusze itd. Pisanie kazał mi zawiesić na czas nieograniczony. Pewno go nie usłucham, ale względu ten w połączeniu z niepewnością zdrowia a zatem i zdolności do roboty na przyszłość sprawił iż zamiary moje są na punkcie zupełnego rozchwiania się. Różne względy mogły odegrać swoją rolę, ale to był główny powód, dla obu stron, bo jeśli Marynia Babska nie bierze go w rachubę trudno się dziwić, że mimo całej życzliwości dla mnie liczy się z nim Zosia.

W Kalten nie zostaną jednak dłużej jak sześć tygodni — bo rozłączenie z dziećmi zmierzałoby mnie w wyższym jeszcze stopniu i mogłoby całkiem zniszczyć skutki kuracji — i tak wątpliwe ze względu na wszystkie powody razem wzięte. Potem przyjadę do Zoppot, a potem nie wiem co zrobię. W każdym razie, w żadną daleką podróż się nie wybiorę. Bawi tu Leo- wie, zresztą polaków jest jak zwykle dużo. Leo już pojechał, ona z córką zostaje jeszcze tydzień. Jest Raczyński, Rembieniński i kilku innych ludzi mniej więcej mego wieku. — Od Dżini miałem kilka listów. Czy też śmierć Fryderyka i niepewność położenia nie wpłynęły na ich zamiary jechania do Paludów? Oby — Tu myślą, że to wojnę przyspieszy. Kto wie co będzie! Ruble pewnie spadną. — Za pięć tygodni znajdę się w Zoppot. Czy naprawdę tak dzieci zachwycone morzem. Co Henio mówi o okrętach i całej przestrzni. A jaką macie pogodę? Tu deszcz. Całuję ręce mateczki — Henia i Dziękę ściskam HS.

List trzeci

Sobota 7/X 93

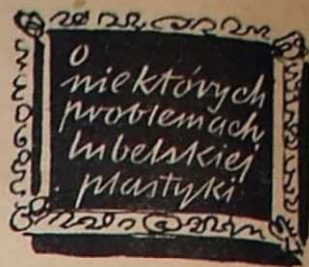
Kochana Mateczko.

Dzieci wyjeżdżają stąd we wtorek, albowiem Wicherkiewicz w niedzielę nie przyjmuje, więc do Poznania przyjadą dopiero w poniedziałek. Dziśka zdrowa zupełnie. Dziś już wychodziła. Rano miała temperaturę 36,7. Henio z okiem dobrze, ale ponieważ Wicherkiewicz

działł się mocno, że dawno nie był w kuracji na oczy, więc chce, by go jeszcze widział, tembardziej że sam tego żądał. — Z moją neuralgią również lepiej. Całuję ręce mateczki — wszystkich pozdrawiam H. S. List drugi pisany był w Kaltenleutgeben 16 lub 17 czerwca 1888 r. List trzeci pisany był w Krakowie.

W następnym numerze wyniki konkursu „Kamenny“ ogłoszonego dla młodzieży szkolnej i studenckiej

Jreneusz J. Kamiński SPOSOBY WYJŚCIA



W PRASIE lubelskiej coraz częściej czytamy o zbliżającej się trzydziestej rocznicy założenia miejscowego związku plastyków, choć prawdę mówiąc, to jesteśmy dopiero w przededniu obchodów tej rocznicy, bowiem Związek Artystów Plastyków powstał w Lublinie dnia 6 sierpnia 1936 roku, a nie — jak informował jeden z naszych dzienników — na przełomie lat 1935/36. Wprowadzam tę drobną poprawkę tylko dla ścisłości historycznej, ponieważ samą inicjatywę rozpoczęcia jubileuszu nieco wcześniej uważam za nader szczęśliwą. W rezultacie przybędzie jeszcze jeden „rok”, nieformalny co prawda „Rok Plastyki Lubelskiej”, który, być może, zwróci baczną uwagę obywateli naszego wiekowego miasta na ludzi zajmujących się nie wiadomo po co malowaniem, dębaniem, bo prawdą jest przecież, że efekty tych czynności rzadko znajdują amatorów.

Trzeba przyznać, że imprezy związane z jakimś sposobem z jubileuszem przedstawiają się imponująco. Dokładny ich wykaz podawała już kilkakrotnie prasa. Znosi się na okres obfitości plastycznej, bogąj w wystawy ogólnopolskie, zbiorowe i indywidualne. W tej sytuacji warto się zastanowić, czy formy i metody udostępniania plastyki stosowane w Lublinie dają gwarancję rozbudzenia rzeczywistego zainteresowania tą dziedziną sztuki wśród społeczeństwa.

BWA i frekwencja

Lubelskie Biuro Wystaw Artystycznych, organizator wszystkich poważniejszych ekspozycji w naszym mieście, jest bodaj najniezwyklej zlokalizowanym salonek wystawowym w Polsce, mieści się na uboczu, ukryte jest przed publicznością. Od lat nie odnawiana, pozbawiona odpowiedniego wyposażenia i zaplecza, rzadko przygotowuje imprezy atrakcyjne pod względem ekspozycyjnym. Nie posiada przy tym żadnych planów reklamowych w mieście, ba — nawet na samym gmachu nie spotkamy szyldu tej instytucji, ponieważ zajmuje ona pomieszczenia będące własnością biblioteki miejskiej i wojewódzkiej, za których dzierżawę płaci kwartalnie kilkanaście tysięcy złotych, a właściwie powinna płacić, lecz skromny budżet roczny w granicach 200 tys. zł nie pozwala nawet na realizację kilkunastomiesięcznego już zadłużenia. I tu dochodzimy do sedna sprawy — do gospodarowania środkami finansowymi będącymi w dyspozycji BWA.

Urządzenie jednej wystawy zbiorowej w salach BWA kosztuje przeciętnie około 5 tys. złotych. Rocznie przewiduje się organizację 20 wystaw w lokalu Biura i w ten sposób, przeznaczając na ten cel 50 tys. zł. Bywają, oczywiście, wystawy mniej kosztowne (klubowe, świetlicowe), ale podstawowa metoda na wykonanie planu wystaw, przy jednoczesnym nieprzekroczeniu budżetu, sprowadza się do rezygnacji z odpowiedniej reklamy, z lepszego materiału i bogatszego zawartością katalogu.

Taka baza lokalowa i finansowa naszej głównej placówki ekspozycyjnej utrudnia szerzej pomyślaną działalność oraz stosowanie bardziej atrakcyjnych metod udostępniania twórczości plastycznej. Dlatego wystawy w BWA mają przeciętną zaledwie frekwencję: zbiorowe, a zarazem bardziej interesujące, odwiedza podczas 3 tygodni (lub miesiąca) średnio 1500—2000 widzów; na niektórych indywidualnych nalicho- no ich raptem... 390.

Analizując przyczyny takiego stanu rzeczy używa się często „wielkich” argumentów, wymienia się jednym temem kino, telewizję, cały przemysł rozrywkowy, hermetyczność współczesnej sztuki i wynikający stąd kryzys zainteresowania plastyką. Sugeruje się potrzebę konkurencji środków masowego przekazu, kinetycznych i dynamicznych, a więc adekwatnych do tempa współczesnego życia i ludzkich nawyków. W pewnym stopniu można się z tymi argumentami zgodzić, tylko jak wówczas wythumaczyć powstawanie w kraju nowych galerii sztuki w stosunkowo niewielkich miastach, jak Elbląg czy Grudziądz? Jak w kontekście takiego rozumowania mogło dojść do zorganizowania „Biennale Form Przestrzennych” w Elblągu, imprezy bez precedensu, jeśli chodzi o wzajemne doradanie się artystów z ludźmi techniki i przemysłu? Chyba jedynie autentycznym zapotrzebowaniem na sztukę, ludzką pasją, życzliwym spojrzeniem władz oraz... umiejętną reklamą połączoną z rzeczą informacją.

Ten ostatni czynnik także u nas nie jest wykorzystywany w sposób należyty.

Powróćmy jeszcze do BWA. Ostatnio słyszałem wypowiedzi sugerujące ograniczenie liczby wystaw w ciągu roku na rzecz podniesienia jakości samych ekspozycji i większych nakładów na reklamę. Taką propozycję wypada w pełni poprzeć. Niech w BWA odbywają się wystawy ogólnopolskie, zbiorowe, czy retrospektywy indywidualne, niech mają oprawę i reklamę stosowaną do ich rangi. Uprzednio jednak lokal powinno się wyposażyć i odnowić.

Sprawa galerii związkowej narodziła już pewną tradycję. Od kilku lat mówi się o potrzebie takiej placówki, lecz wszystko pozostaje w sferze projektów i... kłótni.

Ostatnio przeprowadzono rozmowy z dyrekcją LZG — Śródmieście, dotyczące adaptacji kawiarni „Pod 15” do

potrzeb wystawowych. Kawiarnia, galeria, jakieś niewielkie biuro, znakomite miejsce — w sumie bardzo dobre warunki dla codziennych nieobowiązkowych spotkań, które wiele mogłyby zrobić dla integracji grupy plastyków lubelskich, bo wiadomo przecież powszechnie, że w Lublinie istnieje formalny związek kilkudziesięciu plastyków, ale nie ma środowiska. Rzecz cała upadła, kiedy dyrekcja LZG przedstawiła kosztorys opiewający na sumę 400 tys. zł(!).

Rozmawiałem w tej sprawie z dyrektorem i całkowicie rozumiem jego stanowisko. Niemniej, i to jest warte uwagi, dyrekcja w dalszym ciągu skłonna jest nawiązać ścisły kontakt z plastykami. Tylko nie za taką cenę. Galeria plastyków powinna być przede wszystkim otwarta, takie jest zresztą ogólne przekonanie. Cóż jednak znaczy zbiorowa opinia wobec braku konkretnych, zdecydowanych i opartych na realnych przesłankach decyzji? A przecież rzecz warta zachodu. Kawiarnia plastyków, miejsce atrakcyjne samo w sobie, może stać się terenem pierwszego zetknięcia ze sztuką, ma szansę uzyskać dużą popularność. Na początku będzie to zwykły szum, później, być może, prawdziwie zainteresowanie. Nie wspomnę już o perspektywach ciekawych wystaw warsztatowych, kontrowersyjnych, odmiennych, o możliwościach urzadzania subskrypcji, zyskania mecenasa. Właśnie: mecenasa!

Wiadomo, że jedynym mecenasem plastyków jest Wydział Kultury; jako osobno dysponuje on skromnymi środkami w stosunku do liczby dzieł i plastyków. Od trzech lat pojawił się inny opiekun i warto by go szerzej przedstawić. Chodzi o związki zawodowe.

Zacznąć od alfabetu

Trzy lata temu podpisano umowę pomiędzy CRZZ i ZG ZPAP, dotyczącą szerszego udostępniania dzieł sztuki w zakładach pracy i instytucjach. W ramach umowy przewidziano organizację wystaw w klubach i świetlicach przyfabrycznych, spotkania z plastykami, prelekcje i filmy z zakresu plastyki. Jako rekompensatę za urządzenie wystaw rady zakładów zostały zobowiązane do zakupu dowolnego obrazu plastyka — autora wystawy oraz do wypłacenia mu honorarium za prelekcję. Przesłano odpowiednie okólniki do odpowiednich zarządów i komisji wojewódzkich, oczekiwano na rezultaty. Dziś, po trzech latach, możemy ogólnie stwierdzić, że rzecz cała nie nabrała jeszcze rozpędu. Wyszło przy tym nieprzygotowanie obu stron do nieznanej poprzednio i szeroko zakrojonej akcji. Tu i ówdzie zapomniano zresztą szybko o całej inicjatywie, a kiedy do

pewnej świetlicy przysłano zestaw obrazów, wiele zakłopotany kierownik popychał dzieła sztuki w kierownictwo, aby później obdarować nimi znajomych dyrektora, powiesić kilka w własnym mieszkaniu.

Na Lubelskiemu sytuacji wygląda bardziej optymistycznie, choć i tu także zdarzają się nieporozumienia i przykre wypadki. Oto dwulitos stron zainteresowanych:

Plastycy: „Trudno doprosić się do zakładu pracy o środki transportowe i odpowiednie skrytne zabezpieczenie prace... Sale klubowe nie są przystosowane do ekspozycji, prace ulegają zniszczeniu, na spotkaniu autorskie przychody bardzo mało ludzi lub wychodzi... sam prelegent, ludzie nie chcą przyjmować malarstwa bardziej ambitnego” itp., itp.

Związki zawodowe: „Plastycy podchodzą do sprawy od strony merkantylnej, pierwsze słowa dotyczą zakupu obrazu, a przecież umowa wyraźnie się prelekcji — ze względu na brak szlachy — plastyk otrzymuje normalne trzysztosetowe honorarium. Przesyłają nam prace o niezbyt wysokim poziomie artystycznym, a chcą do tego sprzedać najdroższe...”

Jak widać, obie strony mają wiele zrzeczeń co do sposobu realizowania umowy. Można przypuszczać, że większość kontrowersyjnych spraw ureguluje się z biegiem czasu po nabraniu większego doświadczenia, chociaż trzy lata działalności zobowiązuje. Lecz istota całej akcji, jaką jest upowszechnianie sztuki i przygotowanie ludzi do jej odbioru, jeszcze długo nie będzie zrealizowana. Obawiam się nawet, że obecnie stosowane metody mijają się z celem, zestawy malarstwa współczesnego bowiem trafiają najczęściej do ludzi zupełnie nieprzygotowanych estetycznie. Ze strony swojej proponuję, aby każda doręczona akcją poprzedzić obładowaną wystawą historii malarstwa w reprodukcjach, której powinien towarzyszyć prelegent. Dopiero takie przygotowanie terenu może gwarantować przyjęcie wystawy współczesnego plastyka, ewentualne zainteresowanie jego twórczością i dodatkowy zakup jego pracy. Powstać jednak pytanie, kto ma organizować wystawy reprodukcji, jeżeli ani BWA, ani związki zawodowe, ani ZPAP ich nie posiadają?

W tej sytuacji konieczna jest synchronizacja działalności wszystkich zainteresowanych instytucji i związków.

TEATR na szklanym ekranie

Szkoda »Aktora«...

KTOŻ nie rozumie, jak cenną i atrakcyjną pozycję w planie repertuarowym telewizji są to festiwale teatralne — jedyną możliwość pokazania całej Polsce zelektryfikowanej wyborowych spektakli powstałych w różnych punktach jej terytorium! Chodzi tylko o to, by należycie wykorzystać tę wielką szansę widza i artysty, czyli chodzi o słuszne zasady realizacji i o sprawnie wykonawstwo.

Na skutek okoliczności obiektywnych wylamałam się ostatnio z systematycznym obcowaniem z telewizorem, tedy generalna ocena dotychczasowego przebiegu II TV Festiwalu Teatralnego byłaby z mojej strony po trosze nieoptymalną, wolno mi atoli już teraz poddać krytyce pewien rys charakterystyczny widzianych przeze mnie przedstawień festiwalowych wynikający, jak się wydaje, z błędnego założenia. Mam na myśli fotograficzny autentyczny spektakl przeniesionych ze sceny bez twórczego udziału telewizyjnego.

Wiadomo, że niewolnicza reprodukcja najcenniejszych inscenizacji teatralnych na ekrany kinema-

tografów zawsze dawała w efekcie wywołanie utworu dramatycznego i, że tak powiem, odrętwienie spektaklu. A nikt chyba nie sądzi, iż szklany ekran rozciągający się w intymnej atmosferze kameralnego wnętrza jest zabezpieczony od błęsk, które czyniąją na jego pożądanego poprzednika. Wręcz przeciwnie, grożą tu jeszcze dodatkowe niebezpieczeństwa — rezultat ograniczenia w czasie i przestrzeni, skazującego pokaz dzieła na ryzykowną fragmentaryczność.

Lecz jeśli rygory nastrożające trudność pobudzają artystę do twórczej selekcji, pozwól mu brać w nagrodę triumf. Jeśli pobudzają Refleksje te dość „truiściżne” nasunęły mi się niedawno w związku z przeniesieniem na mały ekran Norwidowego „Aktora”, wystawionego w tym roku przez lubelski Teatr im. J. Osterwy.

Oceniliśmy w „Kamieniu” tę inscenizację, bezpośrednio po premierze, jako osiągnięcie bardzo ambitne. Wiesz, że przedstawienie ma być spopularyzowane przez telewi-

zję, została przyjęta w Lublinie z dużą satysfakcją. Mniemam, iż nie tylko w Lublinie, bo dopiero druga realizacja sceniczna komediodramy Norwida od czasu jej napisania była ewenementem w życiu teatralnym Polski Ludowej. Fakt sięgnięcia po tak nietłuwą pozycję przynosił Teatrowi Osterwy zaszczyt, toteż teatr z pełnym poczuciem odpowiedzialności otoczył wystawę szczególną troską...

I cóż? Niestety, trzeba to powiedzieć otwarcie: tym, co widzieli „Aktora” na scenie w siedzibie teatru, widowisko telewizyjne sprawiło gorzką zawód.

Wypada chyba obarczyć główną winą reżysera tv, którego nazwisko nie podane w programie zaledwie mignęło na ekranie, w czym dokonał się może niejako wymiar sprawiedliwości, skoro Studio Łódzkie TV nie nie uczyniło dla przełożenia przedstawienia teatralnego na język telewizji.

Kardynalną wadą reprodukcji lubelskiego spektaklu przez tv była jej pozbawiona polotu artystycznego fotograficzność, niedostatek inwencji w montażu fragmentów, powodujący odpoetyzowanie i sphylenie przedstawienia. Nie wierzę przecie, by reżyser tv nie dawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie naraża spektakl konieczność poczynienia skrótów w tekście sztuki, która głęboką myślą Norwidową stoi. Tu powinny być przyjęte z wyrywką właśnie telewizyjne środki wyrazu. Tak ładnie posłużyły im nimi kilka miesięcy temu reżyserzy „Pierścienia wielkiej damy”. A tutaj powiedzie można rzecz leżała na wierzchu: owa grafika Norwida, która, będąc moim zdaniem niefunkcjonalna na

scenie, dostarczyłaby przede wszystkim telewizji wymownych symboli i łączników. Aż dziw, że jej nie wykorzystano.

Nie można pominąć milczeniem też tak poważnego defektu reprodukcji, jak kompletne zaprzaczenie uspaniałej scenografii Ottona Axera. Reżyser tv nie ocalał jej ciekawszych fragmentów, posługując się natomiast tym nie tyle neutralnym, ile mizernym, — nie wykorzystując bodaj umiejętniej rekwizytów (z wyjątkiem udatnego zestawienia szpady i pierścienia w ostatnim obrazie).

No i jeszcze jedna ze spraw najważniejszych: sprawa troski o aktora. Aktor, jak każdy człowiek, może być mniej lub więcej fotogeniczny. Niefotogenicznego po prostu nie angażuje się do filmów w kinematografii. W wypadku „przeniesienia” gotowego spektaklu na ekran telewizyjny sytuacja jest poniekąd przymusowa. Niewątpliwym obowiązkiem reżysera tv i operatorów jest specjalna abalosz o aktora rzekomo niefotogenicznego. Otóż po raz drugi muszę powiedzieć niestety: tej obalosz w Studio Łódzkie zabrakło. Nie dość przemysłowe w wielu momentach ustawienie kamer wyrażało niektórym aktorkom i aktorom niepowetowaną krzywdę degradując ich wykonawstwo, a może nawet stwarzając mit ich „niefotogeniczności”...

Summa summarum doskonale spektakl lubelski wypadł w telewizji najużytejsz poprawnie, a od Norwida zostało niewiele więcej niż fabuła. Nie podniosło znaczenia genialnego poety i jego trudnej sztuki również zdawkowe słowo wstępne.

M. Bechzyce-Rudnicka

Boczna droga - nie ślepy tor

LUBELSZCZYŹNA to mimo wszystko teren dla reportażysty nieopłacalny. Trasochołny. Co innego stocznia, elektrownia, huta. Tam pobiegasz od inżyniera do majstra, od majstra do robotnika i nalapiesz „problemów” ile reporterska dusza zapagnie, nie mówiąc już o możliwościach modnych „kompleksów”. Tutaj — hula, jak wiatr po polu. Z tym, że wiatr gwizda sobie na jesienne roztopy i zimowe zaspę, czego nie może uczynić dziennikarz.

Węć może w tym powód, że dotychczas mamy tak niewiele reportaży o Lubelszczyźnie? Oprócz — oczywiście pewnej inościeni — ze strony instytucji wydawniczych tenże — z zastużonych w utrzymaniu ugorem — reportaż lubelskiego reportażu? Wszystko jedno, nie kłębmy się o czas — jak wszelkie maści w drukarniach i na półkach księgarskich wskazują — bezpowrotnie miniony. Ostatnio ukazały się dwie książki kompensujące ten mankament całkowiec. Oprócz Romualda Karasia „Widoku z bramy optymalizmu”, którego pojawienie się odnotowaliśmy w poprzednim numerze naszego piśm., są Lesława Gnota „Boczne drogi” i tym traktem proponujemy niniejszym mały czytelnicy spacer.

Jak sama nazwa wskazuje, drogi boczne biegną obok. W książce Gnot — obok pierwszoplanowych budów przemysłowych, obok wielkoformatowe go rolnictwa, obok sakramentalnie lubelskich curiosów, jak namysłowszczyzna, kaniorszczyzna, miasteczkuinwersyjna, kaniorszczyzna itp. Są to reportaże „nieoficjalne”, powiedzmy lepiej — „podtek-

stowe”. Gnot w żadnym z nich z ókryżkiem „hura” nie biegnie do łatwego wniosku, że jednak wszystko się zmienia na lepsze, ale pozostawiając na uboczu publicystyczny komunalista stara się wyśledzić te ludzkie losy, które na skutek różnych okoliczności nie zostały objęte powszechnym prawem ulepszących przemian. Stąd jego drogi idą nie tylko obok wielkich budynków. Idą również obok propagandowych uproszczeń, co nie oznacza, że dla utwierdzenia wiary w odbywające się w naszym kraju postęp, te reportaże są obojętne. Szczęśliwy po wszystkich perypetiach los „dziewczyny z Malinowej” — dzięki owym perypetiom chyba szczególnie — wyraźniej zdaje się mówić o socjalistycznych pierwiastkach w naszej świadomości, aniżeli uczyniłoby to nienaganna malowana zawierająca nawiązanie kazanki w najlepszej choćby, makaronkowskiej intencji.

Gnot więc ryzykuje. Ryzykuje, że reportaż obciążony palami dość hojnie czepnymi z rzeczywistości, wyszukiwanymi wprost do reportażowej palety przechylili się w czarnowidztwo, albo przynajmniej optymistyczny wniosek zgubi w połowie drogi. Tak się jednak nie staje. Przyczyną tego jest całociekłe widzenie rzeczy, cierpliwość śledzenia wątków do końca, realistyczny zamiar. Gnot bardziej zabiega, by jego reportaż był obrazem życia, niż żeby miał „konceptję”. Jest to wprawdzie okupione pewną „sprawozdawczością”, tym bardziej, że i język tych reportaży nie zawsze jest wolny od uproszczeń, utartych dziennikarskich zwrotów, ale za to mamy pewność, że opisane wydarzenia jest autentycznym w jego wymiarach przedmiotowym, nie podbarwionych upiększającą, czy uatrakcyjniającą stylizacją. Czy wynikało to z jakiegoś popędu? Niewątpliwie. Weźmy pod uwagę, że przy obecnym cyklu wydawniczym i tempie życia reportaż jest gatunkiem najbardziej narazonym na dezaktualizację, a poza tym należało jak najprędzej odrobić reportażowe lubelskie zaległości, praca Gnot posiada więc — zaledwie do pewnego stopnia — „konceptję”. Przynajmniej dokłada jeden jeszcze ciężar na wciąż przeważającej szali współczesności na wydawniczej wadze, która dotychczas odznaczała się preponderacją okupacji.

Wspomnijmy nawiasem, że przy okazji warto by kiedyś przedyskutować proporcje przeszłość — teraźniejszość uznawane w wydawniczym ruchu lubelskim. Osobiście wydaje mi się, że warto więcej uwagi zwrócić na oblicze dnia dzisiejszego, w czym niewątpliwie pomocne być mogą czynniki ustalające profil pułk wydawniczej. Korzystne byłoby tu na linii autor — wydawnictwo spotkanie w połowie drogi. Praktyka biernego oczekiwania na maszynopis nie przynosi pożądanego rezultatu.

W każdym jednak razie współczesność w tematyce wydawniczej została, przynajmniej na początku, należycie usatysfakcjonowana. Miejmy nadzieję, że za jaskółkami dwu wymienionych książek nastanie wiosna dla wiadomości z Lubelszczyzny przynoszonych... Lublińskom.

* Lesław Gnot: „Boczne drogi”. Wydawnictwo Lubelskie, 1965, str. 143, cena 10 zł.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ 181 zabytków architektury i budownictwa zarejestrowano w województwie, w tym kilka meczetów. Ponadto 38 zabytkowych miejscowości oraz 17 stylowych parków i ogrodów.

◆ Nakładem PWN ukazała się monografia zbiorowa „Studia i materiały do dzieł Szuwalszczyzny” pod redakcją dr Jerzego Antoniewicza. Jest to pierwsze naukowe opracowanie tego regionu.

◆ W Białymstoku (tytułach zwiędających) i w większych miastach województwa ekspozowana jest wystawa grafiki artystycznej pod nazwą „Człowiek i praca w Polsce Ludowej”. Wystawa połączona jest z subskrypcją.

◆ A konkursie literackim woj. zleńonogórskiego poeta białostocki — Tadeusz Sokół otrzymał drugą nagrodę za wiersz (pierwsze nie przyznano).

◆ W salonie ZPAP w Białymstoku, po zakończeniu wystawy uczniów liceum technikum plastycznych z Supraśla, prezentują swoje prace nauczyciele, Maria i Antoni Zabscy.

KIELCE

◆ W Pińczowie ma być otwarte muzeum, poświęcone pamięci Adolfa Dygasińskiego. Ponadto w samym mieście odkopano resztki jakiejś nieznannej budowli, wykonanej z dużych bloków glinianych.

◆ Tytuł nieco sensacyjny: „Ludzie zza kulis”. Chodzi o kilkadziesiąt fotogramów znanych aktorów scen krakowskich, żyjących i nie żyjących, a także zagranicznych (Villar, Philippe). Wykonane za kulisy zdjęcia można oglądać na wystawie w sali małej sceny Teatru im. Żeromskiego.

◆ Pierwszym twórcą ludowym Kielecczyzny, któremu zorganizowano indywidualną wystawę, jest Adam Zegadło z wsi Krzyżka. Rzeźbi on w drzewie, a jednocześnie rzeźby pokrywa barwną polichromią.

◆ 29 budynków w Sandomierzu jest zagrożonych wskutek zapadania się kilkupiętrowych łochów w łożysku. Bytomskie Przedz. Robót Górniczych bardzo niemrawo prowadzi remonty.

LUBLIN

◆ Na Międzynarodowym Kongresie Historii Nauki, który odbywał się w Warszawie i Krakowie, 4 naukowców lubelskich wygłosili referaty: dr Wiesława Hubiński, prof. dr Narcyz Lubicki, prof. dr Adam Paszewski i prof. dr Armin Teske. Ponadto kilku innych brało udział w pracach organizacyjnych.

◆ Rektorat UMCS, oddział Towarzystwa Historycznego oraz Kuratorium wyznaczyły już komisję organizacyjną sesji naukowej „Lubelszczyzna w Milenium”, która odbędzie się w Kazimierzu w maju 1966 roku. Na czele komisji stoi prof. dr Jan Dobrzański.

◆ W sezon prapremiery sztuki węgierskiej pisarki Ilony Molnar „Okno i kół” w tłumaczeniu Włery Kornelak.

◆ Ponad 8 tys. pozycji obejmuje „Bibliografia Lubelszczyzny za lata 1944-1964”. Przygotowali ją do druku pracownicy Biblioteki im. Łopacińskiego.

◆ Z okazji 30-lecia powstania oddziału ZPAP, organizacja ta, razem z Muzeum Lubelskim, zorganizowała wystawę prac plastyków, którzy tworzyli w Lublinie w latach 1935-54.

◆ Każdy powiat woj. lubelskiego otrzyma 30 tys. złotych na zakup sprzętu dla powiatowych poradni kulturalno- oświatowych.

RZESZÓW

◆ Po 8 latach społecznej budowy oddano do użytku w Białej (pow. Zestaw) okazały dom ludowy. Pracą kulturalną będzie kierowało koło ZMW. W budynku znalazł pomieszczenie także ośrodek zdrowia.

◆ W uznaniu wioletoleń i owocnej współpracy z wojskiem dowództwo Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Warszawie wręczyło dyrekcji Muzeum Okręgowego w Rzeszowie medal pamiątkowy „Służymy Ojczyźnie — Polsce Ludowej”.

◆ Dom Ludowy w Staronowie został swego czasu zamieniony na magazyn „Estrady”. W okresie kampanii wyborczej obiecywano przeniesić magazyn i uruchomić placówkę kulturalną. Ale teraz, mimo monitów ludności nie się dzieje.

Parawan Bartelskiego

(Dokończenie ze str. 4)

A przeciw Bartelski jest autorem doświadczonego, Tymczasem z Gałęzyskiego zrobił pozytywnego bohatera według tradycyjnego schematu: wielki zapoznany, a raczej zaszczuwany poeta mający tylko fanatycznych wielbieli i nienawistnych krytyków, na którego pogrzebie „zgrupowało się niewiele osób”.

Przejdźmy tu do pewnych merytorycznych spraw, które choć są aleistotne wobec całej koncepcji (czy braku koncepcji) artykułu, to jednak wymagają sprostowań, zwłaszcza że uzasadniają też protest przeciw samemu sposobowi ujęcia. Otóż na pogrzebie byłem również i napisalbym, że zgrupowało się na nim sporo osób. W każdym razie można je liczyć nie na dziesiątki, tylko na setki. Piśze też Bartelski o „obojętności, o ile nie wręcz wrogości krytyki”, tak przedwojennej jak powojennej. „Krytyka przedwojenna właściwie nie po-

trafiła zdefiniować cech jego twórczości”. I to stwierdzenie jest nieścisłe, bo cechy, na które Bartelski wskazuje, widziano już przed wojną. Wyka i Mięski nie byli znowu takimi wyjątkami, jak chce autor. Wśród rzeczowych i życiowych artykułów można by jeszcze wymienić dwugłos Napierkiego i Gombrowicza w „Ateneum”, recenzje Michałskiego, Zawodźńskiego, z powojennych zaś co najmniej kilkanaście. A w ogóle to dużo o nim krytyka pisała, sam Bartelski napisał dość rzeczową recenzję w 1946 roku, z której zresztą obszerny fragment też cytuję.

Autor stwierdza, iż Gałęzyski czekał na koniec świata. Sugestia myląca, bo autor „Końca świata” ujmował modny, zresztą niebezpieczny, katastrofizm a rebours, był raczej antykatastroficzny. Poza tym: autor bardzo załamuje ręce nad okresem 1949-1954. Dziś o tym pisać łatwo, ale po co? Nie chce być zresztą złośliwy...

Przez artykuł Bartelskiego przebiega jakaś zgorzkniałość, typ postawy, który nie wiem, czy zdola ująć wyraz tęsknoty za typem postawy i poczuj autora „Zaczarowanej doroczki”, ale czy nie dało się tego ująć inaczej L. krócej?

Zdzisław Jastrzębski

Majdanek: Konkurs na pamiątki

PANSTWOWE Muzeum na Majdanku ogłasza konkurs otwarty na pamiątki związane z obozem koncentracyjnym na Majdanku, jego filiami, innymi obozami oraz wzięciami hitlerowskimi na Lubelszczyźnie, jak:

- obozy zagłady: w Bełżcu i Sobiborze;
- obozy jenieckie: w Chełmie, Zamościu, Mikulinie, Poniatowej, Białej Podlaskiej (Czerwone Koszary), w Sielczku, Kałłowie i Woskrzonicach;
- obozy pracy przymusowej dla ludności żydowskiej: w Rososzynie, Romaszkach, Ortelu Książęcym, Dokudowie, Leśnej Podlaskiej, Szaniejkach, Malaszewicach, Białej Podlaskiej, Józefowie u/Wiśły, Kazimierzu, Gołębim, Końskowoli, Wymysłowie, Dobrońsku, Czarnej Jowie, Lucie, Ostowej, Sawinie, Rudzie, Kamieniu, Żmudzi, Siedliszczach, Krychowcie, Kanielinie, Tysowcach, Białobrzeczu, Bortatyczach, Zamościu, Dolhobyczowie, Mientkiem, Poturzyniu, Warężu, Milejowie, Karolinie, Bełżcu, Lipsku i Narolu, Pławowie, Dzikowie, Starym i Nowym, Augustowie, Janiskowie u/Wiśły, Rogońcu, Międzyrzeczu, Kratiniku, Budyżynie, Trzawkach, Poniatowej i innych;
- obozy typu karnego: w Dylach, Janowie Lubelskim, Kazimierzu Dolnym, Łysakowie, Mirczu, Rachaniach, Tarnogrodzie, Wierzchowskich pow. Kraśnik, Zarudzie, i innych;

- obozy przesiedleńcze: w Zamościu, Zwierzycu i Lublinie (ul. Krochmalna);

- więzienia: Zamek Lubelski, Rotunda w Zamościu, więzienia w miastach powiatowych oraz areszty gminne.

W związku z tym Muzeum zwraca się do wszystkich byłych więźniów Majdanka, wymienionych obozów i więzień z województwa lubelskiego, jak również do osób, które pracowały w organizacjach charytatywnych niosących pomoc więźniom (Polski Czerwony Krzyż i Rada Główna Opiekunów) o wzięcie udziału w konkursie. Do konkursu organizatorzy zapraszają także osoby związane z komórkami do spraw więziennictwa przy organizacjach konspiracyjnych oraz osoby zatrudnione w firmach budowlanych na terenie wymienionych obozów. Dotyczy to również osób zamieszkałych w pobliżu wspomnianych obozów i więzień, którzy zagłady, jak i tych, którzy pomagali i ukrywali zbliżonych więźniów i jeńców wojennych.

Pod względem zakresu tematycznego prace konkursowe mogą dotyczyć całokształtu spraw związanych z obozem lub więzieniem ewentualnie wybranych zagadnień.

Organizatorom konkursu szczególnie jednak zależy na szerszym uwzględnieniu i rozwinięciu w pamiątkach takich zagadnień, jak: warunki bytowe (odzież, mieszkanie, żywienia, praca, jej charakter i organizacja), system tortur i szykan, formy masowej zagłady (zwiększenie przez rozstrzelanie, gazowanie), grabieże mienia, władze obozowe (więziennicze) i ich charakterystyka, budowa

obozów, ruch oporu, jego formy i działalność, pomoc więźniom z zewnątrz.

Objętość pamiątki dowolna. Prace konkursowe w dwóch egzemplarzach maszynopisu, zatytułowane, podpisane i zaopatrzone w dokładny adres autora, należy nadsyłać pod adresem: Państwowe Muzeum na Majdanku — Lublin, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na pamiątki”. Ostateczny termin nadsyłania pamiątkowych upływa z dniem 30 czerwca 1966 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Autorom najlepszych prac przyznane zostaną następujące nagrody:

I nagroda	— 10 000 zł
II "	— 5 000 zł
III "	— 3 000 zł
IV "	— 2 000 zł

Oprócz wymienionych zostaną przyznane wyróżnienia i nagrody specjalne. Niezależnie od nagród konkursowych autorzy pamiątków drukowanych otrzymają normalne honoraria autorskie. Organizatorzy konkursu gwarantują wszystkim autorom pamiątków całkowitą dyskrecję i anonimowość.

Sąd konkursowy powołany zostanie przez Dyrekcję Muzeum na Majdanku. Sąd może proponować zmiany ilości i wysokości nagród zależnie od poziomu nadesłanych prac. Wyniki konkursu podane zostaną do wiadomości publicznej we wrześniu 1966 r. w czasie „Dni Majdanka”.

Wszystkie zapytania dotyczące konkursu należy kierować pisemnie na adres: Państwowe Muzeum na Majdanku — Lublin.

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pleśniarowicz, Stefan Wojski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 2-34-45. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamożni i przedpłaty przyjmują wszystkie ujętych pocztowo i listonoszami instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonany jest przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 33,60; rocznie zł 67,20. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch” w Warszawie, ul. Wronia 22. Nr konta PKO 1-6-10034 oraz „Ruch” Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unieka 4.

Zam. 3009 T.IX.45 H-4

**Odpowiedzi
Redakcji**

B. D. w Ogrodnikach. Opowiadanie, niestety, słabutkie. W dodatku z ortografią nie żyje Pan w zgodzie (np. „cheryzont”).

M. N. w Oporówku. Z Pana listu do Redakcji: „Mam taką żylkę do pisania i co jest charakterystyczne to to, że stale bym tylko tworzył i tworzył. Stale coś nowego, odmianego”. Nie mamy nic przeciwko temu, ale do druku „to to” się nie nadaje.

W. R. w Warszawie. Prosimy Pana o podanie adresu. „Czekanie” może wykorzystamy w debiutach. W każdym bądź razie pisać warto.

J. K. w Bydgoszczy. Zatrzymujemy „Spacer przez las”.

A. G. w Łoborku. Gotowi jesteśmy wydrukować „Ciszę”. Czy Pan już gdzieś drukował?

Seer w Lublinie. Pana artykuł przekazałmy dyrektorowi teatru. Naszym zdaniem, niczego oryginalnego nie wnosi do dyskusji.

S. R. K. we Wrocławiu, **W. M.** w Warszawie i **S. B.** w Poznaniu. Coś wybieremy.

J. K. w Dąbrowie Białostockiej. Pisze Pan przesyłając kilka wierszy: „Proszę wybrać lepsze i wykorzystać”. Tych lepszych nie znaleźliśmy; najwocześniejszym zamyślnym Pan je dołączyć.

M. K. w Zamościu. Tym razem fraszki słabe. Zatrzymujemy „Na telewizor”.

„Stały czytelnik” w Naleczowie. W Pana utworach znajdujemy interesujące tematy i czasami zaskakujące skojarzenia. Sądzymy, że z czasem będziemy mogli coś wydrukować.

K. T. w Warszawie. W opowiadaniu zmienia Pan miasto (Zieloną Górę na Chelm) i bądź, że po tej „przeróbce” enajdzie się już miejsce w „Kamieniu”. Akcja mogłaby z powodzeniem rozgrywać się i w Madsonie, rzecz jednak w tym, że Pana materiały są bardzo powierzchowną obserwacją życia. Nie zamówionych rekońpsów nie zwracamy.

J. K. w Przemyslu. Zatrzymujemy „Noć”.

I. L. A. w Warszawie. Najbardziej, naszym zdaniem, udany utwór to „Kominarz”. Prosimy jednak o większy wybór.

A. O. w Częstochowie. **T. K. K.** w Lublinie. Jak wyżej.

J. A. w Lublinie. Żaden z Pana wierszy w całości nie nadaje się jeszcze do druku w „Kamieniu”, ale w niektórych utworach są interesujące fragmenty (np. w „Urzędniczym”), dlatego niech rzeczywiście (jak Pan pisze) „żywi nie tracą nadziei”.

E. Ch. w Lublinie. Bez żadnego listu wysłała Pani kilkanaście fraszek. Niektóre pozwalamy sobie w tym miejscu zacytować: „Skradłeś jej wieniec, bądź teraz jej etieniem”, „Szczęśliwy jest bezczelny, bo nie gryzie w język”, „Kaźda niewiasta ezupirado i basta”, „Do zupy trzeba grochu, aby strzelić, trzeba prochu”; „Gdyby się wszystkie marzenia spełniały, ludzie by szła dostali”. Chyba Pani marzeniem jest m. in. druk fraszek w „Kamieniu”. Drukujemy je w tym miejscu, aby nie sprawdziła się druga część Pani ostatniej fraszki. Tak, tak... „aby strzelić, trzeba prochu” i... talentu!

TADEUSZ MULTAŃSKI

Listy z Żąbków Górnych

Robot

KOL. Stefan Czyrapa, zamieszkały w Żąbkach Górnych, w godzinach wolnych od pracy w gospodarstwie matorolnym zajmował się z amatorstwa tym i owym. Pewnego dnia postanowił wykonać uniwersalny robot, który pracowałby w polu, w domu i w ogrodzie, a ponadto wykonywał inne czynności.

Przewodniczący Cisiólek odniósł się do powyższego entuzjastycznie i przychylił się. Kiedy poparł go także sekretarz kółka uprawy koniczyny, kol. Czyrapa zebrał we wsi furę złomu i przystąpił do pracy.

Pracował w pocie czoła, a nawet ciężko przez cały tydzień.

W następnym poniedziałek robot był gotów. Początkowo został zatrudniony w gospodarstwie swego wynalazcy. Rabął drzewo, orał ziemię, doll krowy, a w chwilach wolnych zabawiał żonę Czyrapy rozmową o podniesieniu nośności kur, zimnym wychowie cieląt i innych pożytecznych sprawach życia codziennego. Wieczorem siadał na przybicie i wyspiewywał najnowsze przeboje z repertuaru Karin Stanek.

Kol. Czyrapa, aczkolwiek niechętnie, zgodził się po pewnym czasie przetrząść go dla dobra ogółu.

W przeciągu tygodnia robot naprawił wszystkie dziurawe dachy i ooczoch zabral się do budowania drogi w czynnie

społeczny. Pełnymi garściami nosił piasek, układał kamienie, że aż przyjemnie było patrzeć.

Miejscowi chłopci leżąc całymi godzinami w cieniu drzew, chwalił przemyślność kol. Czyrapy oraz nie mieli słów uznania dla jego wynalazku.

— Porządny robot! — mówili, śmiejąc papierosy.

Wreszcie któregoś dnia, kiedy przydziułem gęremu gąsło pragnienie napojami chłodzącymi w celu podniesienia wydajności w miejscowej gospodzie, przyszedł robot i przysiadł się do stolika.

— Obywatele robotcie — powiedział przewodniczący Cisiólek. — Czy nie trzeba by was naoliwić?

I nie czekając na odpowiedź, pobiegł do panny Geni, która podnieśliła za bufetem, i za chwilę wrócił z nową butelką.

— Na zdrowie! — zawołał. — W wasze ręce, kolego robotcie!

Ale robot odmówił stanowczo. Nie pomogły kolejne próby przewodniczącego Cisiółka, sekretarza Przetaczka i innych luminarzy gromady, ani samego konstruktora kol. Stefana Czyrapy. Robot pozostał nieugięty.

Po czwartym półlitrze orzekł wszystkie przez akklamację: — A nam się zdawało, że to taki porządny robot. Widocznie niedotarty!

Z poczty redakcyjnej

W sprawie „30”

MAREK ADAM JAWORSKI
red. naczelny „Kamień”

W nr-ze 16 (326) „Kamień” w moim artykule pt. „30” na skutek przeróbek tekstu nie uzgodnionych ze mną została w sposób zasadniczy zniekształcona moja myśl w następującym zdaniu: „Osobiście wypowiedziałbym się za zorganizowaniem jednej wystawy w BWA i Muzeum (względny lokalowe) rozbitą na dwie części (twórcy dzisiejsi i zmarli artyści)”.

W tekście, który przekazałem Redakcji „Kamień”, wyraźnie wypowiedziałem się za koncepcją zorganizowania jednej wystawy w dwóch lokalach, ale właśnie bez podziału na ekspozycje żyjących i nie żyjących artystów. Organizowanie oddzielnej wystawy tylko poświęconej nie żyjącym już twórcom nie wydaje mi się szczęśliwą. Stąd też w omawianym artykule nazwałem w zdaniu wcześniejszym ten pomysł osobliwym.

Stew.

Przepraszam autora za błędne sformułowanie. Nad adustacją tekstu zawsze można dyskutować, w oryginale kol. Stewa odnośny fragment brzmiał następująco: „...Oto

nowy problem żywo dyskutowany na tymże zebraniu. W jaki sposób potraktować dorobek artystów aktualnie tworzących w Lublinie, a jak ustosunkować się do dorobku nie żyjących już? Były głosy wskazujące na możliwość zorganizowania odrębnej wystawy, dla nich właśnie, z tym że tego rodzaju ekspozycja zajęłoby się Muzeum Lubelskie. Koncepcja dość osobliwa i chyba jednak nie do przyjęcia. Ostatecznej decyzji jeszcze nie podjęto, trudno się jednak zgodzić z takim rozwiązaniem pod kątem nieobecności tych... drogiej nieobecnych. Natomiast koncepcja jednej wystawy w salonach BWA a także w lokalu Muzeum, rozbitą na dwie części jedynie ze względów lokalowych jest chyba najslusniejsza. Oczywiście podstawą układu ekspozycyj, nie byłoby to, czy ktoś żyje, czy też nie, lecz po prostu przesłanka chronologiczna. W ten sposób na przykład znakomite płótna niezjącego już Wydry znalazłyby się na miejscu godnym ich wartości artystycznej bez narażania na szwank akjomatu o niesmiertelności dzieła sztuki. A poza tym byłoby to także wyraz jakiegoś holdu od nas żyjących i sprawiedliwych, miemy naszą, dla twórczości...”

Sądzę, że przytoczenie w/w fragmentu w pełni satysfakcjonuje kol. Stewa. Nie mniej dziwię się, że listu nie podpisał pełnym nazwiskiem.

Marek A. Jaworski



ILE to pomysłów! Łódzkiej marzenie się między Bugiem a Odrą... Muszę trochę, chociaż to już informacja z historii... „Głos Robotniczy”... „Polityka”... wateł ów podjął w Łodzi 151 tys. zł... wypłatę dla pracowników swego przedsiębiorstwa... w Łodzi 151 tys. zł... Następnie dnia postanowił wyrazić sposób odzyskania przepiętej fortuny... do pocągu zmierzającego w stronę... wie i tu wyszukał pasażera, który... dził się, że jest posiadaczem większej... Władysław W. pokazał wówczas... nieznanemu walizkę pełną forsy i w... warszawskiej gawędzie rzekł, że sa to... niądze fałszywe. Podróżny zainteresował... się, porównał swoją pięćsetkę z „fałszywa” i nie dostrzegł różnicy. Wówczas... mysłowy kasjer zaprosił mu... podanie 145 tys. „fałszywych” złotych... tys. prawdziwych. Nieznajomy przystał na... to. Po zawarciu transakcji przystał na... na najbliższej stacji i zawiadomił... zapomniał w przedziale walizki z pieniędzmi... do wypłaty. Kiedy na następnej stacji... my nie przysłał się, oczywiście, że... wlika z „fałszywymi” banknotami... do niego. Władysław W. odzyskał więc... pieniądze. Wpadł innym razem, kiedy... ułował powtórzyć transakcję... Z FELIETONU KTT w „Kulturze”: „Za... miast, jak to było dotychczas w wy... ju, unięstawić się nazwajem, artyści... wia raczej w sposób umiarkowany się... wli, a przynajmniej „doceniać”. Czy KTT... nie generalizuje?

TABLICZKA na budynku, w którym... mięści się Kielecki klub dziennikar... „Klub Dziennikarza Towarzystwa Pryj... ni Polsko-Chińskiego”. Chyba przesada... oszczędność?

FRASZKI

**BOGUSŁAW
WIECZOREK**

NAGROBEK KELNERA

Po kilkudziesięciu latach
w o l m o odszedł z tego świata.

O HULANIU

Jedynie wiatr
hula bez strat.

**ADAM
KOŁODZIEJCZYK**

BYWA...

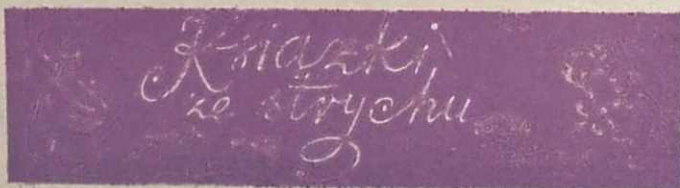
Zachodzą i w życiu fakty z szachów
popychany pionek staje się hetmanem.

Polonia

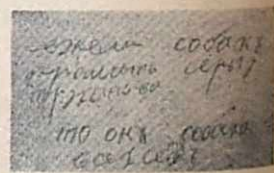
**W związku z niedawnymi wspominkami
zamieszczonymi w „Przekroju”...**



Morderec Puryszkiewicz, poseł do Dumy



W. Książek Dymitr Pawłowicz, uczestnik morderstwa



Facsimile listu Rasputina. „Jesteś się psu przebacza — jak Serżikowi Trufanowowi i Ijodorowi, Ijodor, on, pies, wszystkich zeźre”.

Rene Fülöp Miller

**Święty Demon
Rasputin
i kobiety**

Autoryzowany przekład
Dra W. Bernarda

Nakład i własność
Śląskiego Instytutu
Wydawniczego w Katowicach
1932



Rasputin, biskup Hermogen i Jeromonach Ijodor, późniejszy najzjadliwszy wróg Rasputina



Rasputin w otoczeniu dam dworu rosyjskiego



Rasputin, adiutant przyboczny pułkownika Loman (na lewo) i księżką Pusztalina (na prawo)